ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV — Warszawa, dnia 14 grudnia 1947 r. — Nr 50 (159)

Cena 20 zł

CZYTELNIK — UZĘD POCZTOWY — LUBLIN

W numerze

Tadeusz Peiper
Sartre'owskie tyranie oczu.

Marian Promiński
Bramkarz „Świętej Barbary"

WOJCIECH BYLINA

Parę słów o „handlarzach śmierci"*)

Obecnie, w roku 1947, jeszcze więcej wiadomo o podstawach zagadnienia „handlarzy śmierci" niż przed kilkunastu laty, gdy Engelbrecht i Hanighen pisali swą zajmującą książkę. Jesteśmy przecież pokoleniem wychowanym na potwornym doświadczeniu drugiej wojny światowej, pokoleniem, które lepiej niż dawne pokolenia rozumie grozę wojny. Zdajemy sobie sprawę, że dzisiejszy stan techniki mordowania, stan techniki niszczenia stawia przed ludzkością zagadnienie już nie takich czy innych cierpień powodowanych przez wojnę. Dzisiaj, kiedy wiadomo powszechnie, że bomba atomowa nie jest tajemnicą, stoimy wobec zagadnienia: albo ludzkość potrafi zapobiec dalszym wojnom, albo ci, którzy by po nowej wojnie światowej pozostali przy życiu, byliby świadkami kresu i zagłady cywilizacji i kultury ludzkiej, powrotu do epoki kamiennej, do hubki i krzesiwa, do łuczywa, do kurnej chaty.

Jest niewątpliwie zasługą książki Engelbrechta i Hanighena, że wykazuje ona dawną łączność wielkich potentatów finansowych Ameryki, Anglii, Francji, Niemiec ze sprężynami wszystkich wojen. Wniosek, jaki się nasuwa z lektury tej zajmującej pracy, jest niezbity — ci wywołują wojnę, którzy się na niej bogacą. Doświadczenie lat późniejszych potwierdza niezbicie — ci wywołują wojnę, którzy zmierzają do panowania nad światem. Tak było dawniej i tak też jest obecnie.

Nikomu do głowy nie przyjdzie zaprzeczać oczywistemu faktowi, wołał Hitler, wywołała jego obłędna żądza panowania nad światem, wywołały jego ludobójcze, rasistowskie teorie. Dlatego nie ulega też wątpliwości, że te siły, które zmierzały do okiełznania agresji hitlerowskiej w okresie między napisaniem tej książki a rokiem 1939, były siłami pokojowymi. Te zaś siły, które sprzeciwiały się bezpieczeństwu zbiorowemu i ułatwiały, torowały drogę Hitlerowi, były siłami prącymi do wojny.

Jakież to były siły? Musimy zdać sobie sprawę z tego, gdyż pozwoli to nam wyciągnąć niezwykle istotne wnioski aktualne, płynące z doświadczeń lat poprzedzających wojnę, z przebiegu samej wojny i kilkuletnich już doświadczeń okresu najnowszego, powojennego.

Suche fakty, przebieg licznych i rozmaitych konferencyj międzynarodowych — wszystkie te materiały stwierdzają ponad wszelkie powątpienie: siły międzynarodowej demokracji próbowały — niestety, na próżno — powstrzymać zwycięski marsz Hitlera ku drugiej wojnie światowej. Ogromnie ważne dla zrozumienia sytuacji obecnej jest podkreślenie, że wśród tych sił międzynarodowej demokracji, pragnącej bezowocnie pohamować marsz Hitlera od jednej agresji do drugiej, na pierwsze miejsce wysuwał się Związek Radziecki.

Przypomnijmy sobie, żeby nie sięgać dalej wstecz, wojnę domową w Hiszpanii. Dzisiaj jasne jest już dla wszystkich, że gdyby Hiszpanii republikańskiej nie wydano na łup Hitlerowi i Mussoliniemu, nie rozzuchwalonoby napastników i do wojny światowej nie doszłoby. Jasne jest, że tylko polityka zdradzieckiej „nieinterwencji", która w istocie była polityką interwencji na korzyść Hitlera i Mussoliniego, oddała faszystom półwysep Pirenejski. Naturalnie — pogorszyło to wydatnie sytuację militarną Francji, która za Pirenejami, zamiast przyjaznej Hiszpanii republikańskiej, miała hitlerowski place d'armes Hitlera. Pogorszenie sytuacji militarnej pociąga za sobą nieuchronnie i pociągnęło tym razem również pogorszenie sytuacji politycznej Francji, czyniąc ją mniej zdolną do politycznego opierania się dalszym i dalej idącym agresjom hitlerowskim.

Rzecz prosta, że gdyby w okresie wojny domowej w Hiszpanii demokracja światowa stawiła czoło Hitlerowi i Mussoliniemu, do wojny w ogóle by nie doszło, albo byłaby ona beznadziejna dla napastników, nie kosztowałaby ani dziesiątej części tych ofiar, które pochłonęły lata 1939 — 1945. Nie potrzeba być zawodowym strategiem, aby zrozumieć, że przy rządzie republikańskim w Hiszpanii Francja nie byłaby zmuszona do pilnowania granicy południowej i miałaby w roku 1939—40 o pokaźną liczbę dywizyj więcej dla ochrony wąskiej bramy wypadowej (granica belgijska), przez którą wtargnęła inwazja hitlerowska. Najważniejszym jednak momentem jest tutaj moment polityczno-psychologiczny: gdyby nie oddano faszystom Hiszpanii, najpewniej nie ośmieliliby się rozpoczynać dalszych agresyj.

W jeszcze większym stopniu dotyczy to rozumowanie pamiętnej sprawy Czechosłowacji, oddanej Hitlerowi podczas słynnej konferencji monachijskiej (wrzesień rok 1938). Czechosłowacja stanowiła potężny bastion demokracji na południowym wschodzie Niemiec. Oddanie tego silnego, doskonale uzbrojonego kraju bez jednego wystrzału było krokiem bezpośrednio przyśpieszającym wojnę światową. Dla Hitlera stanowiło to ostateczne potwierdzenie bezkarności wszelkich agresyj skierowanych na wschód. Militarnie stwarzało dla Hitlera perspektywę wojny na jednym tylko froncie pogarszając fatalnie sytuację Francji. Polskę stawiało w sytuacji beznadziejnej, wobec otoczenia nas już z trzech stron przez wojska hitlerowskie. Znów — nie trzeba być strategiem, aby rozumieć, że po oddaniu Czechosłowacji wojna była dla Polski przegrana jeszcze przed jej rozpoczęciem, a świat zachodni stawał w obliczu wojny w bez porównania gorszych warunkach niż przed poświęceniem Czechosłowacji na ołtarzu „uspokojenia".

W obu tych wielkich sprawach — w sprawie hiszpańskiej i czechosłowackiej — cały świat demokracji był przeciwny ustępstwom na rzecz sił agresji. Z państw jeden tylko Związek Radziecki zajmował tu konsekwentne, antyfaszystowskie, antyagresyjne stanowisko. Ale to nie oznacza bynajmniej, że poza Związkiem Radzieckim tego niebezpieczeństwa nie dostrzegano. Linia podziału politycznego — podobnie jak dziś — przebiegała wtedy nie między poszczególnymi państwami, lecz wewnątrz społeczeństw. Ugrupowania demokratyczne we wszystkich krajach pragnęły ratowania pokoju w jedyny możliwy sposób — przez połączenie wszystkich sił pokojowych w jeden front antyfaszystowski, w jeden front zbiorowego bezpieczeństwa.

Wiemy, że, niestety, tak się nie stało. Pamiętamy dobrze, że najpierw, w okresie poprzedzającym jawne, niczym nieosłonięte agresje, frazes pacyfistyczny zastępował prawdziwe rozbrojenie, służył za parawan wyścigu zbrojeń. Wiemy też, że później, w okresie brutalnych agresyj faszystowskich, polityka nieinterwencji i ustępowania przed agresorem zastąpiła zjednoczenie wysiłków, niezbędne już ze względu na to, że kraje faszystowskie zbroiły się gorączkowo, wygrywając wyścig zbrojeń przed krajami powołanymi do tego, aby przeciwstawić się agresji.

Doprowadziło to do wojny roku 1939 — 1945, zakończonej rozgromieniem faszyzmu. Hitler został pobity na głowę tylko dzięki zjednoczeniu sił narodów miłujących wolność. Ten wynik wojny — rozbicie faszyzmu nawet mimo tak późnego zjednoczenia sił antyfaszystowskich — łącznie z analizą wydarzeń sprzed 1939 — daje nam klucz do rozwiązania zagadnienia, które przyświecało niewątpliwie autorom książki, i które dzisiaj jest równie palące: czy i jak można uniknąć dalszych wojen?

*

Aby móc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sobie przede wszystkim uprzytomnić — kto prze dzisiaj do nowej wojny, a kto pragnie pokoju?

Doświadczenia przeszłości ułatwiają nam odpowiedź na to pytanie. Do wojny prą zawsze ci, którzy pragną panowania nad światem, a przede wszystkim ci, którzy się zbroją dla zdobycia panowania nad światem.

Podobnie dzieje się i dziś. Jeżeli nauczeni doświadczeniem lat minionych, uzbrojeni w kryteria, które pozwalają nam z łatwością odróżniać podżegaczy wojennych od zwolenników pokoju i współpracy międzynarodowej, spojrzymy uważnie na sytuację międzynarodową, to rzeczywisty jej obraz wyłoni się nam wyraziście spoza mgły frazesów, spoza wrzasku tendencyjnej propagandy.

Czy trzeba komukolwiek dowodzić, że potentaci przemysłowi i finansowi Stanów Zjednoczonych podporządkowali sobie całkowicie własny kraj i całą jego politykę wewnętrzną i zagraniczną? Czyż trudno dostrzec, że zmierzają oni konsekwentnie do podporządkowania sobie całego świata? Czyż trzeba dowodzić, że fabrykowanie bomb atomowych — broni masowego zniszczenia i mordowania — nie jest krokiem pokojowym? Czy trzeba wskazywać, że dzisiaj nikt nie zagraża i nie zamierza zagrażać bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych? Czyż trzeba wskazywać, że żadne mocarstwo nie buduje baz lotniczych na pograniczu Stanów Zjednoczonych, lecz przeciwnie — Stany Zjednoczone budują i rozbudowują swe bazy lotnicze w Europie? Są to rzeczy powszechnie znane, są to fakty bezsporne.

Czy jest krokiem, zmierzającym do ugruntowania pokoju, odbudowywanie szowinistycznych, zaborczych, szukających odwetu (przede wszystkim na Polsce) Niemiec zachodnich? Czy imperialistyczne koła Anglii i Ameryki zwiększają przez to bezpieczeństwo Europy, czy też je zmniejszają? Czy ułatwia pokojowe współżycie narodów bezustanne interweniowanie Stanów Zjednoczonych w wewnętrzne życie innych narodów, bezustanne popieranie — polityczne i materialne — wszystkich niedobitków wszystkich sił, których nadzieją i religią są dalsze wojny?

Wydaje się, że jedna tylko może być na to odpowiedź — bez względu na frazeologię, jaką temu towarzyszy. Stany Zjednoczone i ich satelici — blumowska Francja i bevinowska Anglia w pierwszym rzędzie — prowadzą dziś politykę, która bez wątpienia zwiększa niebezpieczeństwo wojenne.

*

Zapyta kto może, czy w tych warunkach w ogóle możliwe jest dzisiaj rozbrojenie?

Bezsprzecznie tak. Po rozbiciu hitleryzmu nie ma żadnych powodów, aby zwycięskie państwa demokratyczne zbroiły się nadal. Przecież dla rozwiązywania zagadnień spornych istnieje Organizacja Narodów Zjednoczonych. Dla bezustannego czuwania nad zagadnieniami pokoju, dla definiowania niebezpieczeństwa wojennego i określenia koniecznych natychmiastowych kroków celem zażegnania ewentualnego konfliktu istnieje nowy organ specjalny — Rada Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Ziednoczonych, najskuteczniejsze narzędzie międzynarodowe, wymierzone przeciwko mącicielom pokoju. Dzięki niemu właśnie Organizacja Narodów Zjednoczonych różnić się winna w sposób zasadniczy od bezsilnej Ligi Narodów. Rada Bezpieczeństwa pomyślana została na zasadzie jedności działania wielkich mocarstw, bez których poważniejsza wojna jest nie do pomyślenia. Nie ma więc żadnych powodów, dla których zbrojenia miałyby być utrzymywane.

Dlatego też umacnianie ONZ jest działaniem na korzyść pokoju. W tym też kierunku zmierzają wysiłki dyplomacji polskiej, podobnie jak wysiłki dyplomacji radzieckiej i dyplomacji szeregu krajów demokracji ludowej, pragnące ochronić ONZ przed wszelkimi próbami rewizjonizmu. Naturalnie, próby osłabienia prestige'u ONZ, próby ominięcia jej w rozwiązywaniu sporów międzynarodowych, próby jednostronnych interwencyj w rodzaju interwencji amerykańsko - angielskiej w Chinach czy w Grecji, próby wreszcie — przede wszystkim amerykańskie — odsunięcia na bok najsilniejszego organu ONZ, Rady Bezpieczeństwa, i zastąpienia jej przez inne ciało, zbudowane nie na zasadzie jednomyślności wszystkich wielkich mocarstw, lecz podporządkowane tylko jednemu z tych mocarstw — wszystko to oczywiście prowadzi do załamania współpracy międzynarodowej, a co za tym idzie — do wyścigu zbrojeń.

A wyścig zbrojeń to największe nieszczęście ludzkości. Po pierwsze — zwiększa on szanse wojny, gdyż nie bez racji powiedział pewien wybitny polityk, że chęć strzelania z armat wzrasta proporcjonalnie do liczby posiadanych dział. Po wtóre — zbrojenia są potwornym ciężarem dla krajów i narodów, które nie pragną wojny, lecz chcą spokojnej, twórczej pracy i odbudowy.

Toteż niewątpliwie Związek Radziecki wyraził opinię całej ludzkości, gdy w październiku 1946 roku przez usta ministra Mołotowa zaproponował na ogólnej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych powszechne rozbrojenie. Propozycja ministra Mołotowa była tak jasna i przekonywająca, że Ogólne Zgromadzenie jednogłośnie uchwaliło 14 grudnia 1946 roku rezolucję o powszechnym rozbrojeniu.

Od tego czasu upłynął jednak rok cały i... nic się dalej nie stało.

Propozycja radziecka była logiczną konsekwencją polityki ZSRR w sprawie rozbrojenia. Fakty mówią bowiem, że od roku 1922 (konferencja moskiewska do spraw rozbrojenia) poprzez propozycje radzieckie na konferencjach rozbrojeniowych (1927 i 1934) — wszystkie propozycje rzetelnego, a nie formalnego rozbrojenia wyszły właśnie od przedstawicieli państwa socjalistycznego. Jest to naturalnym skutkiem przebudowy społecznej dawnego państwa carów. Państwo robotniczo - chłopskie nie potrzebuje rozwiązań wojennych, jego dobrobyt rośnie w wyniku pokojowej pracy, która siłą rzeczy przeciwstawna jest wojnie.

W ogóle kasty „handlarzy śmierci", grupy ludzi bogacących się na wojnie kosztem śmierci i niedoli całych narodów, a również swoich rodaków. To samo można też powiedzieć o krajach demokracji ludowej, jak Polska, Jugosławia i inne, które po znacjonalizowaniu kluczowych gałęzi przemysłu również nie mają już „handlarzy śmierci".

Cechą podstawową radzieckiej propozycji rozbrojeniowej oraz powziętej następnie jednomyślnie uchwały Organizacji Narodów Zjednoczonych z roku 1946 było żądanie natychmiastowego ograniczenia zbrojeń i natychmiastowego zastosowania kroków zmierzających do redukcji sił zbrojnych wszystkich krajów.

I otóż, przyjrzyjmy się, jakie były dalsze losy owej niesłychanie istotnej propozycji radzieckiej i uchwały Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zaznaczyliśmy już, że Ogólne Zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych uchwaliło tę rezolucję jednogłośnie. O cóż więc chodzi? Czemu świat się nie rozbroił dotychczas, czemu nawet nie rozpoczęto pierwszych kroków ku rozbrojeniu, lecz przeciwnie — zbrojenia trwają nadal?

Sięgnijmy znów do faktów. Realizacja wspomnianej uchwały zaczęła się „dziwnie" przeciągać. Przedstawiciel Wielkiej Brytanii w komisji do spraw rozbrojenia, sir Alexander Cadogan wystąpił 24 marca 1947 roku z przemówieniem, które wiele światła rzuca na całą tę sprawę. Oto stwierdził on, że wstępem do powszechnego rozbrojenia winno być „ustalenie międzynarodowego zaufania", inaczej bowiem — twierdzi Cadogan — nie ma mowy o prawdziwym rozbrojeniu. Zaś co do tego „międzynarodowego zaufania" nie robił złudzeń:

„Ustalenie zaufania międzynarodowego musi być procesem długotrwałym, który zależy od dowodów trwałej dobrej woli i lojalnej współpracy".

Przekładając to z języka dyplomatycznego na zwykły język ludzki — przedstawiciel brytyjski powiedział, że nie ma mowy o szybkim rozbrojeniu. Jasne jest zupełnie, że sir Alexander Cadogan tylko udaje, że nie rozumie, co w stosunkach międzynarodowych jest przyczyną, a co skutkiem. Bo przecież nic na świecie nie zdołałoby szybciej wzmocnić i pomnożyć międzynarodowego zaufania, niż właśnie szczere, powszechne rozbrojenie. I odwrotnie — nic na świecie bardziej nie utrudnia powstania tego międzynarodowego zaufania niż właśnie trwający wyścig zbrojeń. Rozbrojenie samo przez się stworzyłoby przecież od razu inną atmosferę rozmów politycznych. Nawet z życia codziennego wiemy, że inaczej rozmawiają ze sobą sąsiedzi, gdy w czasie waśni lub sporów siedzą spokojnie przy stole, a inaczej, gdy trzymają przy tym jakąś broń w ręku.

Pozostaje więc nagi fakt — przedstawiciel Wielkiej Brytanii wystąpił przeciwko natychmiastowemu rozbrojeniu**).

Przedstawiciel amerykański w tejże komisji, pan Johnson, nie wysilił się nawet na tak „skomplikowaną" argumentację, jak sir Alexander Cadogan. Powiedział po prostu, że nie ma mowy o rozbrojeniu, dopóki nie będzie... podpisany traktat pokojowy z Niemcami i Japonią, i dopóki nie będzie „ścisłej kontroli energii atomowej".

Mógłby kto — w naiwności swojej — zadać pytanie: co ma wspólnego pokój z Niemcami i Japonią ze sprawą rozbrojenia? Przecież oba te pokonane kraje są całkowicie pod okupacją i kontrolą sojuszników i w tej chwili— ani w ogóle w bliskiej przyszłości — pokojowi nie są w stanie zagrozić a jeżeli zrealizowane zostaną we wszystkich strefach okupacji Niemiec warunki układu poczdamskiego, to Niemcy w ogóle zagrozić nie będą w stanie. Można by nawet dodać, że podpisanie traktatów pokojowych zależy przecież od sojuszników i tylko od sojuszników, więc tym bardziej nie powinno mieć nic wspólnego z natychmiastowym rozbrojeniem, albo przynajmniej ograniczeniem zbrojeń, jak to przewiduje uchwała Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zresztą uchwała ta została powzięta jednomyślnie przez wszystkie narody, które doskonale wiedziały, że traktaty pokojowe z Niemcami i Japonią jeszcze nie są nie tylko podpisane, lecz nawet opracowane. Wprowadzanie nowych warunków jest więc ze strony Stanów Zjednoczonych samowolną, jednostronną zmianą tej ogólnej uchwały.

Co zaś dotyczy bomby atomowej i kontroli nad nią, to mógłby — znów ktoś bardzo naiwny — zapytać, na czym polega tu trudność, skoro bomba atomowa znajduje się w rękach amerykańskich? Któż przeszkadza Amerykanom poddać tę broń pod kontrolę międzynarodową, tym bardziej, że uważają to za warunek niezbędny dla rozbrojenia? Wszyscy przecież rozumiemy i jesteśmy zgodni, że bez zakazu produkcji bomby atomowej, bez zniszczenia istniejącego już w Ameryce zapasu bomb atomowych i bez zakazu produkowania nowych, nie ma mowy o rzetelnym rozbrojeniu. Wniosek radziecki przewidywał zresztą taki zakaz.

Tłumacząc również pana Johnsona na prosty, ludzki język, dojdziemy łatwo do wniosku, że on także — jak sir Alexander Cadogan — pragnie odwlec realizację rzetelnego rozbrojenia, pragnie odłożyć ad calendas graecas realizację jednomyślnej uchwały Ogólnego Zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych z dnia 14 grudnia 1946 r.

Pozostaje więc znów nagi fakt — przedstawiciel Stanów Zjednoczonych wystąpił przeciwko natychmiastowemu rozbrojeniu***).

Rzecz oczywista, że taka sytuacja, w której pewne wielkie mocarstwa wyraźnie sabotują rozbrojenie i popierają wyścig zbrojeń, stwarza niezdrową atmosferę. W tej atmosferze doskonale czują się rozmaici pomniejsi „handlarze śmierci". Bo skoro fabryki produkują broń, to przecież po to, aby ją sprzedać. Broń się starzeje, stare typy nie nadają się już dla mocarstw pierwszorzędnych, ale można je jeszcze z łatwością odsprzedać.

Komu? To nieważne. Oczywiście że tym, którzy jej potrzebują. A potrzebują jej przede wszystkim niedobite rządy faszystowskie dla rozprawienia się z własnymi narodami. Są wśród tych rządów takie, które otrzymują broń zupełnie oficjalnie, bez żenady. Do takich należą na przykład rządy Chin i Grecji, do takich należy rząd Holandii, który potrzebuje broni dla zdławienia Indonezji. To są rządy uprzywilejowane. Ale i inne rekiny, formalnie (ale tylko formalnie) wyklęte, również potrafią coś niecoś wydostać. Nawet — Hiszpania generała Franco! Ta sama Hiszpania faszystowska, którą powołali do życia Hitler i Mussolini na urągowisko całemu światu posyłając tam broń i wojsko podczas sławetnej polityki „nieinterwencji", tak dzielnie i słusznie zrealizowanej m.i. przez Leona Bluma. Ta Hiszpania Franco dostaje dzisiaj broń...

Wydaje się to nieprawdopodobne, ale jest, niestety, prawdziwe. W maju 1947 roku londyńska gazeta „News Chronicle" doniosła, że ogromna ilość amerykańskiego i brytyjskiego sprzętu wojennego sprzedana została do Belgii i do Francji.

„Po jednej czy dwóch oficjalnych manipulacjach — czytamy dalej w „News Chronicle" — podstawowa część tych materiałów przeszła do rąk prywatnych spekulantów. Szukają oni nabywców wychodząc z jednego tylko założenia: ile nabywca może zapłacić? W rezultacie mamy zdumiewające transakcje połączone z brzydkimi manewrami politycznymi. Materiały wojenne, które były przeznaczone dla żołnierzy wojsk sojuszniczych, dostały się do armii hiszpańskiej".

Istotnie „brzydkie manewry polityczne", żeby już nie wyrazić się znacznie ostrzej. Korespondent „News Chronicle" cytuje nawet taką oto wypowiedź handlarza śmierci, który dokonał tej handlowej transakcji:

„Gotowi jesteśmy sprzedać nieograniczone ilości amerykańskiego i brytyjskiego sprzętu wojennego. Sprzedajemy każdemu. Kierujemy towar na składy, a co się z nim dzieje potem, to nas już nie obchodzi. To, co robimy, jest zupełnie legalne. W jaki sposób nabywca wywozi ten towar za granicę, to jego sprawa".

Czyż nie przypomina to żywcem słów, które autorzy zacytowali jako motto rozdziału XII swojej książki?

Wszystko to razem wzięte — niechęć do rozbrojenia, kontynuowanie wyścigu zbrojeń, gorączkowe zbrojenie wszystkich sił reakcji, odbudowywanie zachodnich Niemiec — stanowi ogólny system, wskazuje na ogólne dążenie do określonego celu wszystkich sił reakcji międzynarodowej, którym przewodzi dzisiaj wielki kapitał amerykański.

Tym celem jest panowanie nad światem, uczynienie z Europy kolonii amerykańskiej, chęć zamienienia Anglii, Francji i pozostałych krajów w zwykłych wasali Stanów Zjednoczonych. Politycznym narzędziem tego planu jest sławetna doktryna Trumana i „plan Marshalla", które winny rozbić Europę na dwie części i podporządkować jedną część całkowicie hegemonii amerykańskiej. Narzędziem militarnym jest wyścig zbrojeń z bombą atomową na czele. Narzędziem propagandowym — wrzask antyradziecki i antykomunistyczny, który osiągnął szczyty w Stanach Zjednoczonych, skąd usiłuje się go przeszczepić na grunt europejski, w pierwszej kolejności do krajów zachodnio-europejskich.

Oczywiście — przy takich celach i metodach trudno spodziewać się po Marshallu i Bevinie postawy antywojennej. Trudno spodziewać się, że będą chcieli rozbrojenia. Ci, którzy prą do wojny, nigdy nie chcą rozbrojenia. Te rzeczy nie chadzają w parze.

*

Biegunowo przeciwstawne jest stanowisko krajów demokracji ludowej i Związku Radzieckiego. Wszystkie one domagają się

---

*) Z powodu ponownego wydania książki „Handlarze śmierci" Engelbrechta i Hanighena przez „Prasę Wojskową".

**) Pozostałych, mniej interesujących „argumentów" Cadogana przeciwko rozbrojeniu nie cytujemy nawet.

***) Nie będziemy już męczyli czytelnika cytowaniem innego dyplomaty amerykańskiego, Austina. Powiemy tylko, że jego wystąpienia — podobnie zresztą jak wystąpienia wielu amerykańskich mężów stanu — zmierzały do tego, aby „ideologicznie" wytłumaczyć konieczność zbrojeń Stanów Zjednoczonych. Cel tych wszystkich wystąpień jest jasny — Stanom Zjednoczonym wydaje się, że posiadają monopol na broń atomową, przeto chodzi im o zachowanie tej rzekomej, chwilowej przewagi, jaką zdobyły w dziedzinie broni atomowej.

a) ścisłego wykonania uchwał Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych w dziedzinie rozbrojenia;

b) bezwarunkowego zakazania produkcji i stosowania broni atomowej, jako broni masowego zniszczenia;

c) usunięcia wszelkich sztucznych przeszkód na drodze do rozbrojenia;

d) jak najszybszego opracowania konkretnych posunięć zmierzających do powszechnej redukcji zbrojeń.

Czyż przesadą będzie, jeśli powiemy, że te żądania najdobitniej wysuwane przez Związek Radziecki (wystąpienia na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych), znajdują poparcie wszystkich miłujących pokój ludzi? A są ich miliony, nie tylko w Związku Radzieckim, nie tylko w krajach demokracji ludowej, ale na całym świecie.

*

I tutaj przychodzimy do sedna zagadnienia. Jakie to siły są dzisiaj większe: siły prące do wojny, do nowej, straszliwszej jeszcze trzeciej wojny światowej, czy też siły pokoju? Czy raz jeszcze w historii ludzkości rozbrojenie stanie się mitem, czy też wreszcie oblecze się w ciało, zwolni narody od koszmarnego brzemienia nieproduktywnych wydatków, a co najważniejsze — uwolni ludzkość od grozy wojny.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że siły pokoju są potencjalnie bez porównania większe, niż siły wojny. Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy mogli zorganizować gigantyczny plebiscyt obejmujący całą ludzkość, to 99,99 proc. ludzkości wypowiedziałoby się za pokojem. Ale tak samo było zapewne też po pierwszej wojnie światowej, a jednak wybuchła druga wojna, jeszcze od niej okropniejsza.

Tak samo, ale równocześnie nie tak samo. Bo druga wojna była zarazem ideologicznie wojną obozu demokracji przeciwko obozowi faszyzmu, była dla prostego człowieka wojną obozu pokoju przeciwko obozowi wojny. Zwycięstwo obozu demokracji, obozu pokoju, zmieniło w zasadniczy sposób układ sił politycznych w świecie. Siły pokoju i demokracji wyprowadzone zostały ze stanu izolacji i defensywy. Dziś o niczym na świecie nie podobna decydować bez udziału sił demokracji, ze Związkiem Radzieckim na czele. Do głębi przeorana została psychika szarego człowieka, który coraz lepiej rozumie, kto broni jego interesów, a kto im zagraża.

Dzisiaj siły prące do wojny znów rozpoczynają swoją krecią robotę od tego, że pragną odizolować, odepchnąć siły pokoju od współdecydowania o losach świata. Temu celowi służy właśnie cały wrzask „antyradziecki" i „antykomunistyczny", cała kampania na temat „żelaznej kurtyny", cała akcja antyrozbrojeniowa.

Ale dzisiaj za późno już jest na to. Zbyt głęboko zdążyło już przeniknąć do milionów prostych ludzi we wszystkich krajach przekonanie, że demokracja i pokój to jedno. Zbyt głęboko zdążyło przeniknąć przeświadczenie, że te same siły, które razem ze Związkiem Radzieckim dążyły do pokoju — pokonały faszyzm, gdy nadeszła godzina próby. Zbyt głęboko dotarło już przeświadczenie, że siły demokracji pragną szczerego i całkowitego rozbrojenia. To przecież nie siły demokratyczne grożą światu bombą atomową. To nie na łamach prasy krajów demokracji ludowej ani Związku Radzieckiego ukazują się artykuły podżegające do wojny To właśnie ze strony Związku Radzieckiego przyszło nie tylko potępienie samych zbrojeń, ale również propagandy prowojennej.

Im więcej prostych ludzi na całym świecie zrozumie ten stan rzeczy, im więcej ludzi zda sobie sprawę z potęgi sił pokojowych, im głębsza będzie jedność wszystkich międzynarodowych sił pragnących pokoju, pragnących rozbrojenia, tym trudniejsza będzie rola podżegaczy wojennych, tym trudniej im będzie sabotować rozbrojenie, podstawowy warunek powszechnego, trwałego pokoju.

Potędze Związku Radzieckiego, która znalazła najmocniejsze odbicie w zwycięstwie nad hitleryzmem, mamy do zawdzięczenia fakt, że siły demokracji, siły pokoju są dzisiaj w ofensywie politycznej Dzięki Związkowi Radzieckiemu, dzięki krajom demokracji ludowej głos pokoju, nawołujący do powszechnego rozbrojenia i do oficjalnego potępienia propagandy prowojennej, rozlega się z trybuny Organizacji Narodów Zjednoczonych, z której dociera wszędzie.

Problem walki o pokój został postawiony ofensywnie, w całej swej rozciągłości. Wybór — reakcja, czy demokracja? wyścig zbrojeń, czy rozbrojenie? pokój, czy wojna? — staje dzisiaj nie tylko przed wszystkimi narodami świata, ale przed każdym myślącym człowiekiem Należyta, humanitarna, ludzka odpowiedź na te pytania jest już zjawiskiem coraz powszechniejszym.

Wojna okres przedwojenny i okres najnowszy, powojenny, obnażyły przed światem do reszty sprężyny i dźwignie poruszające mechanizm wywoływania wojen. Wiemy dobrze, że złowieszczy „handlarz śmierci" — złośliwy wykwit, a zarazem współtwórca imperializmu, dążenie do panowania nad innymi narodami — węszy dzisiaj nowe zyski, usadowił się w rzędach niektórych potężnych państw, pcha do wojny, na której zbiera zawsze obfite plony. Często niewidoczny, jest jednakże nader ważnym trybem w mechanizmie wywołującym wojnę. Częstokroć bywa duszą tego mechanizmu.

I choć zmieniły się „artykuły" handlu — technika poszła naprzód, — nie zmieniła się jednak plugawa psychika i mentalność wszystkich tych kruppów, schneiderów, vickersów, dupontów czy forrestalów. Dlatego warto spojrzeć na nich z historycznej perspektywy, jak to czynią Engelbrecht i Hanighen.

Wojciech Bylina

KONKURS LITERACKI „ODRODZENIA"

na temat

MIASTECZKO POLSKIE ROKU 1947

Rodzaj literacki: powieść lub fragment powieściowy, opowiadanie, utwór sceniczny lub jego fragment, reportaż, essay.

Termin nadsyłania prac: do 1 stycznia 1948 r.

Nagrody

1 NAGRODA 60 000
3 NAGRODY po zł 30 000
5 NAGRÓD po zł 10 000

OGÓLNA SUMA NAGRÓD WYNOSI 200 000 zł.

Prace już opublikowane nie będą uwzględniane.

Skład jury zostanie podany później. Jury ma prawo łączyć nagrody lub zmieniać ich wysokość.

Redakcja zastrzega sobie prawo pierwodruku nadsyłanych prac, jak również prawo drukowania ich przed zamknięciem konkursu.

Maszynopisy, ewentualnie rękopisy wyraźnie pisane, zaopatrzone nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku z podaniem nazwiska i adresu w zamkniętej kopercie) należy kierować na adres redakcji **„Odrodzenia"**
Warszawa, ul. Ignacego Daszyńskiego 14

Szczegóły por. „Odrodzenie" nr 18

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

DWIE ROCZNICE

1857—1947, 1347—1947

W wieku XIX nie miała Polska jednego ośrodka życia i promieniowania kulturalnego. Po upadku dawnego państwa polskiego pierwszym zwiastunem niepodległości zdawało się być Księstwo Warszawskie. Ogłaszając w roku 1808 „Uwagi nad teraźniejszem położeniem tey części ziemi polskiey, którą od pokoju tylżyckiego zaczęto zwać Xięstwem Warszawskim", Kołłątaj opatrzył je mottem: „Nil desperandum". Aby ta dewiza mogła być wcielona w życie, trzeba było walczyć, i dopiero po roku 1815 na tle, zdawało się, normalnych stosunków w Królestwie Kongresowym począł rozwijać się i oddziaływać ośrodek naukowy warszawski. Klęska Powstania Listopadowego przecięła te możliwości. Po roku 1840 przychodzi z kolei do głosu ośrodek poznański. Poznań głosi wówczas hasła, które za kilka dziesiątków lat nazwie się w Warszawie „organicznymi". Należy do tej epoki Karol Marcinkowski, jak również założone w roku 1857 Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Nie byle jakie nazwiska związały się z początkami Towarzystwa: August Cieszkowski, Tytus Działyński, Karol Libelt. Ale przyszła era bismarkowska i światło poznańskie musiało przemienić się w przysłowiowy „kaganiec oświaty". Pochodnię nauki przejął z kolei Kraków, w którym do końca siódmego dziesiątka XIX wieku warunki politycznego bytu Polaków uległy poprawie. Tak było też do wybuchu wojny światowej w roku 1914. Akademia Umiejętności w Krakowie była instytucją formalnie dzielnicową, faktycznie zaś ogólnopolską, i dlatego słusznie po odzyskaniu niepodległości przybrała miano Polskiej Akademii Umiejętności.

Odnowione państwo stworzyło nowe warunki pracy naukowej.

W okresie dwudziestolecia poznańskie naukowe środowisko poczęło się wyraźnie specjalizować w badaniach nad zagadnieniami polsko-niemieckimi i zachodnio-słowiańskimi. Z Poznania widziało się i widzi te sprawy ostrzej niż z innych ośrodków starej Polski. Poznań leży wszak nad Wartą. Naturalny szlak geograficzny prowadzi z Poznania Wartą do Odry. Problematyka ziem, zwanych dziś Odzyskanymi, zarysowywała się więc wyraźnie w świadomości środowiska naukowego poznańskiego na długo przed 1939 rokiem. Ale potem przyszedł drugi kataklizm dziejowy, który wstrząsnął podstawami życia naukowego Wielkopolski. I dwu gmachów Towarzystwa jeden został doszczętnie spalony. Spalone zostało Archiwum, magazyny wydawnictw poszły na przemiał, ocalała jedynie Biblioteka, w stanie zresztą dość smętnym; byłoby bardzo źle, gdyby zniszczała i Biblioteka Towarzystwa, zważywszy, że spalona została druga regionalna biblioteka wielkopolska, Biblioteka Raczyńskich. Odbudowę prac Towarzystwa trzeba było więc zacząć „po warszawsku".

Koniec pierwszej „trzylatki" odbudowy Towarzystwa zbiega się z 90-leciem jego założenia. Historię jego opisano obszernie w roku 1927, kiedy obchodzono 70-lecie Towarzystwa. Dzieje następnego dwudziestolecia zwięźle skreślił obecny prezes Towarzystwa i dawny jego sekretarz generalny, prof. Zygmunt Lisowski. Nie będziemy tu wchodzili w te dawne i nowe dzieje, skoro zainteresowany czytelnik może sięgnąć do wskazanych publikacyj. Warto natomiast wspomnieć o naukowym dorobku trzechlecia, podać wiadomość o pracach, które mają się ukazać.

Pojawi się więc najpierw trzytomowa monografia Aleksandra Wielopolskiego, pióra prof. Adama Skałkowskiego. Uczony ten składa Towarzystwu na jubileusz główne dzieło swego pracowitego życia naukowego. Ongi uczeń Szymona Askenazego znalazł się rychło w opozycji do swego mistrza, a przyczyną rozbieżności zdań była odmienna u obu uczonych ocena polityki zagranicznej Sejmu Czteroletniego. Skałkowski w sądach swych bywał niekiedy bardzo radykalny, ale to, co pisał, odpowiadało jego wewnętrznemu przekonaniu. Nie wątpimy, że po niedawnym obudzeniu uwagi czytającej publiczności pracą Ksawerego Pruszyńskiego o Wielopolskim, książka Skałkowskiego znajdzie szeroki oddźwięk. Tematyka jest wciąż bardzo pociągająca. Podtytuł trzeciego tomu brzmi: „Margrabiego i polski tragedia".

Jeśli chodzi o kierunki planowanych prac Towarzystwa, jednym z nich są badania nad historią prawa polskiego, historią prawa innych narodów słowiańskich i historią prawa najdawniejszych Słowian, czyli prawa tzw. prasłowiańskiego. Doniosłość tej tematyki doceniało już w pełni pokolenie uczonych z przełomu XIX i XX w. Oswald Balzer ogłosił w r. 1900 w pierwszym tomie założonych przez siebie „Studiów nad historią prawa polskiego" znakomitą rozprawę pt. „Historia porównawcza praw słowiańskich — główne kierunki rozwoju nauki i jej istotne zadanie". Pisał wówczas, że „należałoby... pomyśleć o założeniu czasopisma naukowego, poświęconego badaniom, jako też krytyce naukowej w zakresie porównawczej historii praw słowiańskich, oraz historii poszczególnych praw narodowych Słowiańszczyzny. Przyznajmy bowiem otwarcie: zaskłepiwszy się w przeważnej części w rozpatrywaniu dziejów jednego tylko z praw narodowych, tracimy nieraz zmysł dla historii innych praw słowiańskich, nie zajmujemy się wynikami, do jakich nauka doszła na tych innych polach, czasami wprost ich nie znamy. Wynika stąd pewna jednostronność poglądu, odbijająca się nieraz szkodliwie nawet na samej nauce historii tego prawa narodowego, którym się szczegółowo zajmujemy. Organ, pośredniczący pomiędzy wszystkimi badaczami poszczególnych odłamów prawa słowiańskiego, zetknąłby ich ze sobą, zaznajomił wzajemnie z wynikami ich prac, dał otuchę i pobudkę do dalszych badań".

Myśl tę realizuje obecnie „Czasopismo Prawno-Historyczne", którego pierwszy rocznik ukaże się na dzień jubileuszu. Część artykułów czasopisma będzie ogłaszana w języku francuskim, ażeby wyniki badań polskich i innych słowiańskich uczonych podać do szerszej wiadomości. Będzie też prowadzony obszerny dział informacyjny o pracach historyczno-prawnych obcych narodów.

W najbliższej z tym łączności pozostaje wznowienie w Poznaniu od r. 1947 wspomnianych „Studiów nad historią prawa polskiego". Pierwszy ich zeszyt poświęcono pracy zajmującej się analizą dawnego prawa rugijskiego. Wchodzimy tedy w dziedzinę, która dotąd była omal wyłącznie monopolem nauki niemieckiej. Wyniki jej musiały być ułomne, nawet wówczas, gdy nie chciała być w założeniu tendencyjna. Niemców interesowały przede wszystkim dzieje niemczyzny na terenach dawniej słowiańskich; uczeni niemieccy — poza wyjątkami — mieli nadto małą znajomość historii słowiańskich urządzeń prawnych, uchodziło zatem ich uwagi to, co od razu rzuca się w oczy historykowi polskiemu czy czeskiemu. W związku z tym warto zwrócić uwagę na zamieszczoną w „Czasopiśmie" pracę dr. J. Matuszewskiego, autora wspomnianego studium o prawie rugijskim, na temat elementów słowiańskich w „Zwierciadle saskim" (Sachsenspiegel), czyli spisie prawa zwyczajowego we wschodnich Niemczech z XIII wieku.

W osobnym tomie „Studiów nad historią prawa polskiego" zostaną ogłoszone Statuty Kazimierza Wielkiego, wydane na podstawie pośmiertnego rękopisu Oswalda Balzera.

Niewątpliwie ważkie to zdarzenie w życiu naukowym polskim, zważywszy że w roku bieżącym obchodzimy 600-lecie Statutów Kazimierza Wielkiego i zważywszy ogromną doniosłość tych Statutów dla poznania życia wewnętrznego Polski w XIV stuleciu.

Już w pierwszych latach swojej długiej i tak owocnej pracy naukowej zajął się Balzer Statutami Kazimierza Wielkiego, będącymi dla każdego uczonego prawdziwym orzechem do zgryzienia. Nie zachował się bowiem żaden współczesny rękopis Statutów. Rękopisy z końca XIV wieku zawierają Statuty i późniejsze postanowienia króla Kazimierza i pokazimierzowskie. Trzeba z tego gąszczu wyłowić najpierw to, co wchodziło w skład Statutów. Nasuwała się nadto inna ważna kwestia: czy król Kazimierz wydał jeden statut dla całej Polski, czy też dwa statuty, jeden dla Wielkopolski, a drugi dla Małopolski. Osobne zagadnienie, to stosunek Statutów do prawa przed ich czasem obowiązującego, tzn., czy są one tylko spisami prawa zwyczajowego, czy też wprowadzają nowe postanowienia. Jeszcze inny problem, to wpływ praw obcych (rzymskiego i kanonicznego) oraz kodyfikacyj obcych (np. „Maiestas Carolina" Karola IV).

Ogromna rozpiętość tych zagadnień i trudności hamowały pracę Balzera. Walnie wspomogło ją wydanie tuż po pierwszej wojnie światowej różnych rękopisów, czyli tzw. zwodów Statutów, przez Bolesława Ulanowskiego. Badanie wpływu prawa rzymskiego na Statuty zachęciło Balzera do szczegółowego zajęcia się kroniką Wincentego Kadłubka (początek XIII w.). Mistrz Wincenty znał prawo rzymskie; Balzer przypuszczał, że wczytywanie się ludzi XIII i XIV w. w kronikę Kadłubka nie pozostało bez wpływu na Statuty. Ale to wszystko, jak wspomniałem, hamowało pracę. Rękopis pośmiertny złożony Towarzystwu przez wdowę po Zmarłym, panią Leokadię Balzerową, nie zawierał całej pracy. Balzer opracował z ogromną sumiennością to, co zdaje się, trzeba określić mianem Statutu Wiślickiego, czyli małopolskiego. Ale choć to praca nie skończona, stajemy na mocniejszym gruncie. Historyk XIV wieku dostaje do rąk tekst pozwalający mu odtworzyć stosunki prawno-społeczne tego stulecia. Będzie można ogłosić, na podstawie Statutów ostatniego Piasta, osobną książkę o Polsce w XIV w. Coś na podobieństwo słynnej książki Stanisława Smolki o Mieszku Starym czy Szachnochy o Jadwidze i Jagielle. A co za wspaniały materiał dla powieściopisarzy!

Drugim odcinkiem planowanej pracy Towarzystwa są studia nad Ziemiami Odzyskanymi. Dokonano tu podziału pracy między Instytutem Zachodnim a Towarzystwem. Towarzystwo podjęło się prowadzenia badań fizjograficznych na obszarze Polski zachodniej. Temu celowi służy osobny Komitet Fizjograficzny pod kierownictwem dr. B. Krygowskiego. Pierwszych prac terenowych dokonano latem br. Umożliwiła je wydatna pomoc udzielona Towarzystwu przez wicepremiera Władysława Gomułkę. Wyniki tych prac ogłoszone zostaną drukiem w ciągu roku 1948, a równolegle z tym od najbliższej wiosny prowadzone będą dalsze badania terenowe. Wagi tych badań, w których bierze udział kilkudziesięciu uczonych, podkreślać nie trzeba.

W dziale ściśle regionalnych, wielkopolskich prac przyrodniczych wspomnieć należy o mającej się ukazać zbiorowej publikacji pod redakcją prof. A. Wodziczki o „Stepowieniu Wielkopolski". Prof. Wodziczko jest głośnym w Polsce znawcą zagadnień ochrony przyrody. Pojmuje ją bardzo szeroko. Chodzi mu nie tylko o zachowanie rezerwatów przyrody, ale także o wykazanie, w jakim stopniu wycinanie lasów może doprowadzić do zupełnej zmiany krajobrazu i do zniszczenia podstawowych przyrodniczych warunków bytu ludzkiego Prof. Wodziczko wyraża przekonanie, że Wielkopolsce grozi „stepowienie", jeżeli w dalszym ciągu niszczona będzie żywa przyroda.

W najbardziej ogólny sposób nakreśliliśmy warunki pracy i wyniki, z którymi Towarzystwo pragnie przyjść na dzień jubileuszu 90-lecia, 15 grudnia br. Na tym miejscu, nawiązując do początku tego artykułu, wskazać należy jeszcze na pewne „szczęście w nieszczęściu" Ponieważ kraj nasz znajdował się pod rozbiorami i z przyczyn politycznych tworzyły się różne ośrodki życia naukowego, Polska Niepodległa uniknęła centralizacji życia naukowego i kulturalnego, tak dotkliwie odczuwanej we Francji, a także Czechach. Tam hasłem dnia jest decentralizacja. U nas postulatem winno być umiejętne powiązanie pracy różnych ośrodków życia naukowego. Ponieważ w tych większych ośrodkach są uniwersytety, z natury rzeczy prace towarzystw będą musiały mieć „powszechny" charakter. Ale obok tego wypadnie zastanowić się nad specjalizacją poszczególnych środowisk, w oparciu o ich możliwości i naturalne tendencje rozwojowe.

Zygmunt Wojciechowski

PAWEŁ HERTZ

Z „WARSZTATU NOWOCZESNEGO POETY"

I

Podarunki natury — drzewa, mgły, kamienie,
kwiaty, śniegi bezbarwne, przyjmuję tak chętnie,
jakbym ich czas kolejny czuł we własnym tętnie,
znał ich wiosny i lata, zimy i jesienie.

Podarunki rozumu — marzenie, co składa
razem barwy oddzielne, słowa, gesty, nuty
piękność, porządek świata, trwająca jak skuty
lodami strumień, jak martwa kaskada
gotowa runąć, lecz trwająca póty,
póki jej wreszcie nie wyzwoli zdrada:
wszystkie one są dla nas.

Kiedy w krótkie noce
o doskonalszej gwieździe myślimy zawile,
wtedy sypią się ku nam, jak złote owoce;
dotknięte — przecież więdną i giną za chwilę,
jak gdyby nam Tantala każąc czynić próby
podarunki natury i rozumu dary
czekają, aż połączą doskonalsze śluby
z tymi co znają winy, tych co znają kary.

II

Noc była krótka. W takiej nocy
pamięć zastawia swoje sidła.
Widzę Ikara z malowidła,
gdy świat odmawia mu pomocy.

Jak w pianie morza, wśród pościeli
wspominam wszystkie sprawy ziemi,
gdzie żywi — żyją, milczą — niemi
gdzie gra orkiestra przy niedzieli.

Gdzie kamień drobnym mchem obrasta,
gdzie płynie czas zaledwie po to,
by burzyć miasta, wznosić miasta
wysuszać kość i składać złoto.

W stuleciu obcym, w obcym kraju
gorzka jest wina, trudna — skrucha
Lecz jestem obcy — z obyczaju,
z myśli i z serca. Milczę. Słucham

jak pamięć czas o łaskę prosi,
jak spływa wosk z Ikara skrzydeł,
jak pęka płótno malowideł,
jak z gruzów ręka ludzka wznosi
miasta, aby świadczyły ziemi,
że żywi — żyją, milczą — niemi.

III

Jeżeli rzeki świata przeze mnie nie płyną
i tylko wąski strumień na dnie nocy gada,
pozwól mi, bym nie czuwał nad każdą godziną,
niech się powieść o świecie beze mnie układa.

Znam tylko tyle rzeczy, ile znam ich cieni
zastygłych na kamieniach spokojnego świata,
gdy ich ręka dotyka, oko ich nie zmieni;
jak ptak żałobny muza nad mym czołem lata.

wie bowiem, że gdy oko mgła zasnuje wreszcie
ręka porzuci kamień, drzewo, metal, skórę,
oddając je na pastwę rzekom świata: bierzcie
wszystkie przyczyny cieni dane przez naturę.

WACŁAW BIELECKI

„Plan pięcioletni zmieni oblicze naszego kraju i dusze naszych ludzi"

Jeśliby mnie ktoś zapytał, co najbardziej rzuca się w oczy w Nowej Jugosławii i co jest dla niej najbardziej charakterystyczne, odpowiedziałbym bez wahania — ogromny rozmach budownictwa.

W ostatnich dwu latach przewędrowałem niemal całą Europę i wszędzie uderzyło mnie jedno — zupełny marazm, martwota — nic się nie buduje. Można by zaryzykować twierdzenie, że na zachodzie Europy im kraj bogatszy i mniej zniszczony, tym większy zastój budowlany. Może to wyglądać na paradoks, ale np. w Sztokholmie, stolicy kraju, którego nie dotknęła wojna, kryzys mieszkaniowy jest daleko większy niż w Warszawie. W Paryżu, Londynie, Zurychu czy w Brukseli nie widziałem ani jednego nowobudującego się domu. Poza Związkiem Radzieckim są w chwili obecnej w Europie dwa tylko kraje, w których naprawdę się buduje: Polska i Jugosławia. Ale powiedzmy to sobie od razu — nasi przyjaciele jugosłowiańscy pozostawili nas daleko w tyle, choć mimo olbrzymich zniszczeń i spustoszeń, jakich dokonała wojna i okupacja w naszym kraju, jesteśmy w położeniu dużo szczęśliwszym niż Jugosławia. Nasz potencjał przemysłowy był już przed wojną daleko większy, a po odzyskaniu Ziem Zachodnich i olbrzymich zasobów i możliwości z tym związanych, staliśmy się w porównaniu z Jugosławią potęgą ekonomiczną. W takich warunkach naszym podstawowym zadaniem w ramach planu trzyletniego było nie nowe budownictwo przemysłowe, lecz zwiększenie i udoskonalenie produkcji w już istniejących zakładach przemysłowych. Mamy daleko lepszą szansę niż Jugosławia, lepszy start w odbudowie kraju. Kosztem stosunkowo mniejszych ofiar i wyrzeczeń możemy podnieść naszą produkcję i stopę życiową ludności. Toteż na froncie produkcji sukcesy nasze są bez porównania większe niż w Jugosławii. Natomiast jeśli idzie o nowe budownictwo, w szczególności o budownictwo przemysłowe, spośród wszystkich krajów demokracji ludowej Jugosławia jest bezsprzecznie na pierwszym miejscu.

Przed wojną Jugosławia była pod względem gospodarczym jednym z najbardziej zacofanych krajów w Europie. Wystarczy przytoczyć kilka cyfr: w roku 1939 na jednego mieszkańca przypadało: węgla — 389 kg (trzecie miejsce od końca w Europie przed Rumunią i Bułgarią), żelaza 6 kg (ostatnie miejsce razem z Rumunią), stali 15 kg (drugie miejsce od końca przed Rumunią), energii elektrycznej 71 kw. godz. (przedostatnie miejsce przed Bułgarią — 42 kw./godz.), nafty — 0,06 kg (ostatnie miejsce), nawozów sztucznych 0,3 kg (ostatnie miejsce). Przemysł jugosłowiański rozwijał się więc powoli i rachitycznie, a jego linię rozwoju wykoślawiał kapitał zagraniczny, skupiający w swoich rękach lwią część bogactw Jugosławii i prowadzący rabunkową gospodarkę kolonialną. Trusty i kartele zagraniczne chcąc zagarnąć jak największe zyski i uzależnić od siebie Jugosławię gospodarczo i politycznie, nie dopuszczały do rozwoju ciężkiego przemysłu i hamowały techniczny rozwój kraju. Marszałek Tito w przemówieniu o planie pięcioletnim (26. IV. 1947 r.) przytoczył kilka jaskrawych przykładów tej kolonialnej polityki: miedź ze słynnych bogatych kopalni Borskich wywożono do Francji, aby potem po niezwykle wysokich cenach odsprzedać ją Jugosławii. W dodatku ruda miedziana miała duży procent złota, które drogą procesu technicznego oddzielano również we Francji. Wartość uzyskanego w ten sposób złota równała się wartości kapitału włożonego we wszystkie Borskie kopalnie. Kapitaliści zagraniczni otrzymywali więc od Jugosławii miedź za darmo. Podobnie miała się rzecz z pokładami cyny i cynku w Triepczu, które zawierały wielką ilość srebra. I tu zyski kapitalistów były wielokrotnie większe od ich wkładów.

Inny przykład: Jugosławia, jak widzieliśmy, zajmowała ostatnie miejsce, jeśli idzie o produkcję nafty w Europie, choć jej zapasy ropy są niemałe. Dlaczego? Po prostu Shell i Standard Oil, którzy mieli monopol na naftę i benzynę, nie dopuszczali do próbnych wierceń, chcąc utrzymać wysokie ceny produktów, dostarczanych przez nich Jugosławii.

A jak było z przemysłem tekstylnym? Kapitaliści zagraniczni budowali wyłącznie tkalnie, co zmuszało Jugosławię do importu gotowej przędzy zza granicy i cały jej przemysł tekstylny uzależniało od kapitału zagranicznego. Techniczne zacofanie przemysłu jugosłowiańskiego zilustruje lepiej inny przykład: kopalnia rtęci Idria w Słowenii posługiwała się aż do wyzwolenia urządzeniami technicznymi z czasów Napoleona. W kopalni Jezierina wydobywano rocznie 8.200 ton rudy chromowej rękami robotników. Rudę przewożono końmi na odległość 6 km, a stamtąd 25 km wołami do stacji kolejowej. Wielkie piece, obsługiwane przez 200 robotników przerabiały 100 ton żelaza na dobę, gdy huty nowoczesne przerabiają 500 ton z obsługą 45 ludzi.

Takie dziedzictwo otrzymała Nowa Jugosławia po wyzwoleniu. Należy dodać, że dużą część i tak już nikłych zasobów zniszczyła wojna.

W takich warunkach zaczęła się realizacja planu pięcioletniego. Cóż to jest plan pięcioletni? — Plan pięcioletni ma — jak głoszą napisy — zmienić oblicze kraju i dusze ludzi w Jugosławii. Ma gospodarczo, technicznie i kulturalnie zacofany kraj zmienić w jeden z przodujących w Europie. I ten historyczny, już nie rozwój, ale skok naprzód ma się dokonać w ciągu lat pięciu!

Plan pięcioletni jest przede wszystkim planem uprzemysłowienia i elektryfikacji Jugosławii, budowania nowego przemysłu, przede wszystkim ciężkiego, budowania setek wielkich zakładów przemysłowych, budowania nowych i modernizacji już istniejących gałęzi przemysłu. Z 272 miliardów dinarów, wyasygnowanych na realizację planu pięcioletniego, na ten cel przewidziano 120 miliardów: 30 miliardów na elektryfikację, 72 miliardy na transport i komunikację, 24 miliardy na przemysł lekki.

Dzięki temu w roku 1951 produkcja wzrośnie 2½-krotnie, wskaźnik produkcji przemysłowej skoczy z 45% na 64% a ilość produkcji na głowę ludności, w stosunku do roku 1939, zwiększy się pięciokrotnie (z 33.378 din. — 10.625 dinarów). Produkcja węgla wzrośnie o 265%, stali o 320%, aluminium o 800%, nafty — z 1000 ton do 450.000 ton, czyli 450-krotnie. Te cyfry i dane pozwalają uzmysłowić sobie, jakiego olbrzymiego zadania i wysiłku podjął się naród jugosłowiański, chociaż cyfry i dane to jeszcze za mało. Trzeba być w Jugosławii i zobaczyć na własne oczy, jak tam się buduje, dotknąć rękami murów setek równocześnie wznoszonych fabryk, aby uwierzyć, że to jest rzeczywista rzeczywistość. Gdy się przejeżdża przez Jugosławię, uderza jedno: wszędzie budują: fabryki, elektrownie, hydrocentrale, stacje radiowe, dworce, linie kolejowe, szosy, domy mieszkalne, teatry, kina. Pisałem już w pierwszym reportażu, jak wygląda nowe budownictwo w samym Belgradzie. Mówiłem o wielkich zakładach przemysłowych „Żeleznik", wznoszonych przez 5 tysięcy młodzieży w rekordowym tempie, mówiłem o nowej dzielnicy mieszkalnej (27 bloków — przeszło 3000 izb), o Rzeczypospolitej Pionierów, zbudowanej podczas ostatnich wakacji, o miasteczku filmowym, jugosłowiańskim Hollywoodzie, lecz to wcale nie wyczerpuje listy obiektów budujących się w stolicy Jugosławii. A przecież Belgrad nie jest wcale ośrodkiem nowego budownictwa. Buduje się wszędzie, w całym kraju.

W Zenicy, ośrodku górniczym Bośni, gdzie mieści się sztab „Omladinskiej Prugi" Szamac — Sarajewo, widzieliśmy, jak powstawało nowe miasto: zakłady przemysłowe i osiedla mieszkalne. W Sarajewie kończy się budowę nowego olbrzymiego dworca i licznych fabryk. W dolinie rzeki Neretwy buduje się olbrzymią hydrocentralę elektryczną z trzema sztucznymi jeziorami. Zakłady te dostarczą energii elektrycznej całej Bośni i Hercegowinie. W Mostarze przejeżdżaliśmy obok ogromnego kompleksu nowych budynków — składnic tytoniu, a jest to przecież tylko mała cząstka tego, co się buduje w ramach pięcioletniego planu. Wystarczy powiedzieć, że już w tym roku wznosi się w całym kraju przeszło 200 nowych fabryk, nie mówiąc o innych obiektach.

Gdy po powrocie do Polski opowiadałem o sukcesach budownictwa naszych przyjaciół, zapytywano mnie zawsze: skąd biorą na to pieniądze? — Polityka finansowa rządu nastawiona jest na to, by zdobyć odpowiednie środki na realizację pięcioletniego planu. Każdemu resortowi, każdej fabryce, każdej instytucji, każdemu sklepowi nawet, który jest w rękach państwa, wyznacza się nie tylko zadania produkcyjne, lecz i finansowe: zebrania, zaoszczędzenia określonej sumy pieniędzy na nowe budownictwo, na plan pięcioletni. Gdy jakaś fabryka wykona plan produkcyjny w 100%, ale wskutek za małej wydajności i niedostatecznej ilości zaoszczędzonego materiału załamie się plan finansowy — to przedsiębiorstwo takie nie wypełniło zadania. Na wykonanie planu finansowego kładzie się nie mniejszy nacisk niż na wykonanie planu produkcyjnego. Cały kraj żyje pod znakiem oszczędności: jak najmniej wydawać na cele nieprodukcyjne, jak najwięcej na budownictwo.

Omladincy przy budowie mostu

Jugosławianie mają większe możliwości nagromadzenia kapitału niż my. Mam na myśli przede wszystkim handel. Duża część handlu, zarówno hurtowego, jak i detalicznego jest w rękach państwa lub zarządów miejskich, co — jeśli wziąć pod uwagę rezultat finansowy — wychodzi na jedno. Wszystkie restauracje, apteki, hotele itp. od samego początku przejęło państwo. Na szyldach większości sklepów w Belgradzie widnieje napis: komunalny — czyli miejski. W ten sposób kapitały, które u nas często w rękach nieuczciwych przedstawicieli „inicjatywy prywatnej" idą na cele spekulacyjne, zamieniają się na „miękkie i twarde" lub bezużytecznie leżą w pończosze, tam gromadzone są skrzętnie przez całą sieć handlową i rzucane na cele budownictwa.

Nie to jest jednak najważniejsze, nie to rozstrzygające; najważniejsza i decydująca jest sprawa wydajności pracy. W wielkiej kampanii o uprzemysłowienie kraju, jak w każdej kampanii na froncie pracy, w ostatniej instancji decyduje wydajność pracy.

Za miliard złotych można, dajmy na to, zbudować 5.000 izb mieszkalnych, ale jeśli się zwiększy znacznie wydajność pracy — to za ten sam miliard można ich będzie — przez tę samą ilość robotników — zbudować nie 5, lecz powiedzmy 7.000. — Rozumieją to dobrze Jugosłowianie i dlatego na całym froncie ich budownictwa rozgrywa się gigantyczny wyścig pracy. Wykonać normę, wykonać normę z nadwyżką, oto najgłębszy sens pracy ludzi w Jugosławii, którzy dają ze siebie wszystko, aby plan wykonać. Dają chętnie i dobrowolnie. Każdy uważa się za żołnierza na wielkim froncie pracy, buduje fabryki, elektrownie, koleje, by jego kraj, jego ojczyzna stała się silna i przodowała innym, by jemu i jego dzieciom żyło się dostatnio i szczęśliwie. Warto pracować w Jugosławii i dlatego ludzie tak pracują. W tym kryje się tajemnica sukcesów budownictwa.

A teraz dla kontrastu mały obrazek: gdy przejeżdżaliśmy przez inny kraj, spotkaliśmy grupę robotników, którzy kładli czy naprawiali tor kolejowy. Obserwowałem tę grupę przez dłuższą chwilę; robotników było ze trzydziestu. Trzymali w rękach łopaty, jedli, palili papierosy, inni gapili się, nikt nie pracował. Przypomniał mi się podobny widok u nas w Warszawie. Na jednej z większych budowli i to prowadzonej przez D. W. O., kilkudziesięciu robotników lepiło sobie po prostu bałwana z wapna. Nie była to zresztą ich wina — nie dostarczono im materiału i nie mieli nic do roboty. Ale fakt pozostaje faktem. Sądzę zresztą, że nie był to odosobniony widoczek w Warszawie. Wszystkim wiadomo, że wydajność pracy na odcinku budowlanym jest u nas niższa, a nawet znacznie niższa, niż przed wojną. I jakoś na razie nic nie słychać, aby ktoś poważnie myślał nad naprawieniem tego stanu rzeczy. Gdy w fabrykach, kopalniach i hutach setki tysięcy robotników stają do wyścigu pracy w produkcji — na odcinku budowlanym, przynajmniej w Warszawie, słowa: norma, plan, wyścig pracy — są nieznane i niezrozumiałe.

Ale wróćmy do Jugosławii. Wydajność pracy jest oczywiście jak najściślej związana z rozwojem techniki. Warunkiem koniecznym szybkiego, wydajnego budownictwa są nowoczesne metody i urządzenia techniczne. Jugosławia to nie Ameryka. Nasi przyjaciele nie mają za dużo urządzeń technicznych, braki te muszą nadrabiać przede wszystkim doskonałą organizacją pracy. Ale nie widziałem ani jednej większej budowli, a widziałem ich sporo — na której nie byłoby nowoczesnych urządzeń: wielkich dźwigów, kopaczek, bouldogerów, eskawatorów itp., — W małej ilości, ale były. Skąd je Jugosłowianie biorą? Częściowo otrzymują ze Związku Radzieckiego, częściowo robią sami. A u nas w Warszawie? Jedynie gmach Ministerstwa Przemysłu buduje się „po nowemu", w oparciu o nowoczesną bazę techniczną. A reszta? Pożal się Boże. Już nie przedwojenne, ale przedpotopowe metody budownictwa. A czyż można zbudować nową Warszawę — zadanie tak gigantyczne, jakiego dotąd nie znała historia urbanistyki — za pomocą starych chałupniczych metod pracy? I jeszcze jedno: organizacją budownictwa w Jugosławii kieruje państwo. 240 państwowych przedsiębiorstw budowlanych specjalizuje się w różnych dziedzinach budownictwa — budowie mostów, elektrowni, zakładów przemysłowych, obozów mieszkalnych itd., itd. — Ministerstwo Budownictwa, któremu podlega produkcja materiałów budowlanych, dysponuje nimi planowo. Również szczupłe fachowe kadry budowlane rozprowadza się po kraju według planu. A u nas? W tej dziedzinie wciąż jeszcze dominuje żywioł, konkurencja poszczególnych prywatnych firm budowlanych.

Skoro mowa o organizacji, należałoby to zagadnienie omówić szerzej. Nie można zrozumieć tego, co się dzieje w Nowej Jugosławii, jeśli się nie zrozumie nowych specyficznych form organizacyjnych, które tam wykuto. Mam na myśli przede wszystkim Front Narodowy. Front Narodowy w Jugosławii różni się poważnie od podobnych organizacji społecznych w innych krajach, od Bloku Demokratycznego u nas. W skład Frontu Narodowego wchodzą, podobnie jak i u nas, wszystkie partie demokratyczne. Różnica polega jednak na tym, że jest to nie tylko polityczne porozumienie, uzgadnianie taktyki itd., lecz ogromna masowa organizacja społeczna, obejmująca większość bodaj dorosłej ludności w Jugosławii.

Front Narodowy jest wszędzie. Jego komórki organizacyjne obejmują nie tylko powiaty, miasta, gminy, wsie, dzielnice, ale każdą ulicę, każdy dom, ba, każdą klatkę schodową, a nawet korytarz w wielkich blokach mieszkalnych. Jak Narodna Omladina mobilizuje i organizuje młodzież, Front Narodowy mobilizuje wszystkie żywotne siły narodu do budowy Nowej Jugosławii i realizacji planu pięcioletniego. Znaleziono nową formę organizacji tych olbrzymich zasobów inicjatywy, zapału, entuzjazmu, które tkwią w masach ludowych, w narodzie, i wyzyskania ich w twórczej pracy dla kraju.

Weźmy dwa konkretne przykłady. Główna ulica w Belgradzie, Terazie, to były właściwie dwie wąskie uliczki przedzielone skwerem; utrudniały one ruch, uniemożliwiały normalną komunikację i szpeciły miasto. Front Narodowy w Belgradzie rzucił hasło wszystkim podległym organizacjom: dzielnicowym, ulicznym, blokowym, korytarzowym, i oto pewnego pięknego poranku cała nie pracująca ludność wyległa na ulicę z łopatami, narzędziami i do 10 dni skwery i szyny tramwajowe znikły — pozostała szeroka, świeżo wyasfaltowana kilkukilometrowa arteria przelotowa.

Drugi przykład. Buduje się wielką szosę Belgrad — Zagrzeb długości 400 km. Ma być i będzie gotowa w ciągu dwu lat. Front Narodowy zorganizował akcję — wszyscy jego członkowie co jakiś czas, po pracy zawodowej, odpracowują ochotniczo trzy godziny przy budowie szosy. Po przepracowaniu pewnej ilości godzin każdy otrzymuje znaczek, że wykonał swój obywatelski obowiązek.

Widziałem tych ludzi przy pracy. Pracowali z taką energią i zaciekłością, z jaką walczyli z okupantem podczas wojny wyzwoleńczej. I jak zwyciężyli wrogów, tak samo zwyciężą w walce o realizację planu pięcioletniego.

Gdyby mnie ktoś zapytał — gdzie się kryje tajemnica sukcesów Nowej Jugosławii —odpowiedziałbym trzema słowami:

Jedność, zdecydowanie, organizacja.

Wacław Bielecki

*) Por. „Tu będzie" i „tu było", w nr. 46 (155) i „My budujemy Prugę — Pruga buduje nas" w nr. 47 (156).

TADEUSZ KUBIAK

WIERSZE*)

W KATEDRZE ŚW. JANA

Ciało z koszulki gimnastycznej uszło.
Wniebowstępował młody futbolista,
gdy atak chłopców złamany, jak skrzydło
zastygł w kościele gwarniejszym niż przystań
podmiejskich statków, a tłumnym jak ogród
zabaw i uciech zielonoświątecznych.
Spocony piłkarz miał chwilę niedobrą.
Nie myślał on o spoczynku wiecznym
i o światłości wiekuistej, kiedy
niespodziewanie ta chwila nań przyszła.
O, nie mógł ręki podźwignąć ku biodrom
rozdartym. Ziemia wymknęła się — niska,
płaska — jak nogom biegnącym hipodrom.
W gotyckiej bramce z rozkrwawionej cegły
dziwił się ptakom z rozbitych gniazd zbiegłym.
Samolot nisko opłynął szczyt wieży,
niby jaskółka tuż przed deszczem letnim.
Dachy różowe od ognia jak kwietnik
wzniosły się. Piłkarz — prawie święty Jerzy,
chociaż w koszulce tylko gimnastycznej,
miażdżył łeb bestii apokaliptycznej.
I był wysoki. I był wiekuisty.
Wniebowstępował nad smutnym boiskiem.

MAŁGORZATKA

Zakochana w satyrze sprośnym i zuchwałym
antyczna Małgorzatka wbiegała na skały.
A choć to nie był granit — dla dziewczęcych strapień
opoką był, podporą wietrzejący wapień.
A rzeka ani Letą nie była, ni Styksem,
choć chłop, jak Charon nocą przewoził przez Wisłę.
Rybacy przezroczyste sieci wlekli brzegiem.
Woda rzeki pachniała topniejącym śniegiem.
Dziewczątko z majoliki, ze szkła i kryształu
z wodą u stóp i z niebem u skroni płakało.
Płacz, biedna. Noc stracona. I dzień nadaremny.
Koń o szyi łabędzia uniósł w lasy ciemne
smagłego strzelca, który przystał do oddziału.
Rozszumiały się wierzby płaczące! Szumiało
w sadzie, gdzie chłopskie grusze, jabłonie i śliwy.
Małgorzatka płakała przy księżycu siwym.
Bo choć była z tej gliny, z nadwiślańskich piachów,
obco żyła dziewczyna wśród innych chłopaków.
Zakochana w satyrze sprośnym i zuchwałym
wybiegała nad rzekę, na wapienne skały.
Zmierzch zapadał, wiatr ziębił, kwiliły rybitwy.
Przyszedł ojciec. Przyszła matka.
Chodź do domu, Małgorzatka.
Uciekła w las ciemny, gdzie gorzały bitwy.

*) Z tomu „Słowo pod żaglem", który ukaże się wkrótce nakładem TURu.

Najpiękniejszy podarek na gwiazdkę

MONOGRAFIA ZIEM ODZYSKANYCH
ZIEMIE STAROPOLSKIE
TOM I — DOLNY ŚLĄSK

praca zbiorowa, bogato ilustrowana, pod redakcją K. Sosnowskiego i M. Suchockiego. Piękny obraz polskiego wczoraj i dziś na tej ziemi.

KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH
Część I — stron 501, cena zł 1.000,—

MONOGRAFIA ODRY

praca zbiorowa pod redakcją profesorów A. Grodka, M. Kiełczewskiej Zaleskiej i A. Ziemhotfera. Znaczenie, zagospodarowanie i przyszła rola drugiej głównej arterii nowej Polski.

Stron 640, cena zł 2.000.—

K. 217-1

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ZACHODNIEGO

POWIEŚCI

1. *Ammers-Küller*
WIERNOŚĆ RODU TAVELINCKÓW zł 540.—
2. *Kudliński T.*
FARBOWANE LISY zł 480.—
3. *Kudliński T.*
ŚWIĘTOKRADCA zł 900.—
4. *Pawłowska W.*
PEREGRYNACJA KRÓLEWICZA JMCI zł 160.—
5. *Wiktor J.*
ORKA NA UGORZE zł 360.—

Książka podróżnicza

6. *Jalin A.*
KRAJ BIAŁY CZY ZIELONY zł 400.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach
KSIĄŻNICA-ATLAS
Wrocław-Warszawa

TANIA KSIĄŻKA
POPULARNO-NAUKOWA

1) *Bolesław Skarżyński* doc. U. J. i *Stanisław Skowron* prof. U. J. **„Przyroda tworzy człowieka"**, str. 168, z ilustracjami, zł 200.—
2) Dr *Józef Sieradzki* **„Wędrówka po stuleciach"**. Ustroje gospodarcze i ruchy społeczne, str. 144. zł 160.—
3) *Eugenia Stołyhwo* doc. U. J. **„Nasi prarodzice"** Jak powstał i kim jest człowiek, str. 141, 45 ilustracji. zł 200.—
4) *Witold Doroszewski* prof. Uniw. Warsz. **„Rozmowy o języku"**. (w druku)

Do nabycia we wszystkich księgarniach
RADIOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
KRAKÓW, ul. Wróblewskiego 6
Konto czekowe PKO IV/4694 K 218-1

MARIAN PROMIŃSKI

Bramkarz „Świętej Barbary"

1

Mistrzowska drużyna Urugwaju *Santa Barbara*, zwana inaczej Cyrkiem Ramigeza, miała za sobą w objeździe po Europie wygranych siedem meczów z najmocniejszymi teamami Anglii, Francji, Niemiec i Czechosłowacji. Będąc teraz tu, w Rzymie, miała jeszcze do rozegrania ciężkie spotkanie z teamem Italii, dwa w Mediolanie, dwa lub trzy w Madrycie i Lizbonie, a dalej — być może jeszcze z kilku plotkami sportowymi — jeśli zdobędą się na pokrycie kosztownej lekcji piłkarstwa Urugwajczyków.

Santa Barbara nie była zwykłym klubem, była — cyrkiem, na wzór głośnego niegdyś cyrku tenisistów Tildena. José Ramigez, kapitan drużyny, komponował swój zespół z zawodowców spośród zawodowców; wymagania, które stawiał swoim ludziom, wykraczały daleko poza zwyczajną sprawność piłkarzy, uznawał tylko wartości podniesione do kwadratu. Cała jedenastka składała się z lekkoatletów, których wyniki w pięcioboju musiały się utrzymywać na poziomie światowym, a gracz, który tracił kilka punktów na bieżni czy skocznii, przechodził do rezerwy, choćby na treningu piłkarskim był zadowalający. Ramigez utrzymywał bowiem, że niedostatki kondycji fizycznej gotowe zawsze wyjść na jaw w spotkaniu, a on nie ma potrzeby ani ochoty ryzykować. *Santa Barbara* ma być rodzajem zegarka urugwajskiego zegarka, który uderza dwunastą, kiedy jest dwunasta!

Nad prywatnym życiem swego zespołu czuwał jak przeor klasztoru. Dziewczyna i koniak należały do rzadkich i umiejętnie dozowanych uciech tego świata, na które wolno było sobie pozwolić tylko w dwutygodniowych urlopach rozrzuconych po kalendarzu dwa lub trzy razy do roku, zależnie od kontraktów, i w czasie dłuższych sześciotygodniowych feri późną jesienią. Życie w tych warunkach nie było łatwe, toteż tylko dwu graczy spośród siedemnastu, licząc z rezerwowymi, było żonatych, i ci zawijali do domów jak marynarze po rejsie dokoła świata. Ich żony mogły być jednak spokojniejsze o siły i uczucia swoich chłopców, niż żony marynarzy.

Ramigez potrafił być paskudnie nieprzyjemny w sprawach higieny sportowej. W tradycji klubu utrzymywała się stale i żywo historia sprzed dwóch lat z ówczesnym lewoskrzydłowym Brabantem, którego już nie ma w drużynie, a który w Los Angeles na kilka godzin przed ważnym spotkaniem postanowił upić się w towarzystwie głośnej i pięknej *diseuse'y* i w tym celu wybrał sobie kawiarnię ogródkową na krańcach miasta. Ramigez zdołał go jednak zdekonspirować i kiedy zobaczył przed młodą parą *high-halle* na stoliku, napełnione *calvadosem*, który nadużyty wywołuje obrzydliwe przypadłości, nie wytrzymał i sprał Brabante'a po twarzy w obecności pysznej dziewy hollywoodzkiej. A Brabante nawet nie muknął, ani ręki nie podniósł do uderzenia; byłoby to zresztą niebezpieczne, bo Ramigez miał morderczą ripostę.

Kapitan drużyny miał trzydzieści dwa lata, wygląd południowca, z wyjątkiem wzrostu (gdyż jego 182 cm wykraczały nieco ponad przeciętną) i sam grał w środku napadu. Grał zresztą nie zawsze, tylko w szczególnie emocjonujących go spotkaniach. Miał równie dobrego jak on zastępcę, Lodoviga Cinzę y Zebra, człowieka - kulę, jak go nazywano, który stale osiągał czas poniżej 11 sekund na sto metrów i należał do najszybszych chyba napastników w historii sportu piłkarskiego.

Poza tymi dwoma — cały napad składał się z zupełnie młodych ludzi, z których żaden nie przekroczył dwudziestego piątego roku życia. Lewe skrzydło Rodorigo C., łącznik Allonzo M., drugi łącznik Carlos D., prawe skrzydło Juan L., pomocnicy — Arletta, Włoch Cimone i Bidagos. O indywidualnych cechach tych ludzi trudno Europejczykowi coś powiedzieć, zarówno gdy idzie o sklasyfikowanie ich rzemiosła, jak o zapamiętanie sylwetki i twarzy gracza. Szybkość i precyzja, te dwa słowa mówią wszystko o ich sztuce, a zewnętrznie zespół robił wrażenie sfory czarnych diabłów. Przymieszka krwi indiańskiej uformowała ich głowy, dając im twarze krótkie o wysokich kościach policzkowych, migdałowych wąskich oczach i haczykowatych ostrych nosach. Poza tym w ich fizjonomiach trudno się było rozeznać, jak w pyskach wilczurów tej samej hodowli.

Jednym obrońcą był Miguel Alicante y Lorca, Hiszpan czystej krwi, 33-letnia primadonna drużyny, piłkarz niezwykle uzdolniony, ale nierówny i niekarny. Z nim Ramigez miał najwięcej do roboty i często musiał mu przypominać smutnej sławy Tino Brabante'a, którego złamana kariera sportowa powinna być dla Miguela przestrogą. Dziwne — kiedy Miguel stał na boisku z założonymi rękoma, do czego miał często sposobność, bo napad *Santy Barbary* dusił przeciwnika na jego połowie, wysoka sucha sylwetka Miguela mało przypominała piłkarza. O twarzy szczupłej, sinej od wygolenia, z trapezoidalnym podbródkiem i płaskim łokiem nad łysiejącym czołem — wyrażał szparkami zmrużonych oczu rozważną pogardę i przebiegłość matadora. Tylko mu dać kapę na łokieć i szpadę do garści, a popędzi przed sobą byka.

Drugim obrońcą był jedyny blondyn w zespole, trzydziestoczteroletni Szwajcar Martin Rainer, mężczyzna atletycznej budowy, flegmatyk, oszczędny w ruchach i dokładny, taki, przez którego rzadko tylko mógł przejść atak przeciwnika. Jego wyleniała baniasta głowa zyskała mu sławę, nie dla swej mądrości, tylko dla swych przymiotów zewnętrznych jako kula. Rainer zamieniał ją w czasie gry w same „główki", którymi biorąc piłki z powietrza, bez stopowania, zyskiwał na czasie i rozdawał swoim graczom rzuty z dokładnością automatu.

Wreszcie kolej na bramkarza, będącego fenomenem *Santy Barbary*. Pueblo Cochas przyszedł do drużyny przed pięciu laty, tuż po jej reorganizacji i objęciu kapitaństwa przez Ramigeza. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata, a wyglądał na osiemnaście. I dzisiaj nikt by nie powiedział, że ma więcej niż dwadzieścia. Smukły i dobrze ale niezbyt mocno zbudowany, z ładną głową, w krótkich lokach o tłustej, czerni, stanowił zewnętrznie przeciętny typ urodziwego młodzieńca łacińskiej rasy. Koleje jego kariery dowiodły jednak, że nie był kimś przeciętnym. Z prowincji do Montevideo przyprowadził go Ramigezowi pewien manager i długo musiał namawiać kapitana na wypróbowanie nowicjusza, gdyby bowiem próba wypadła pomyślnie — to by zobowiązywało, a Ramigez nie potrzebował bramkarza. Po dwu tygodniach natarczywych podjazdów zniecierpliwiony Ramigez skrzyknął na treningu Lodoviga Cinzę i jeszcze dwu strzelców, postawił Puebla na bramie i zaczął mu ładować swoim zwyczajem półwysokie bomby tuż przy słupkach, z rozmaitych pozycji, z prawej strony i z lewej, z bliska i z daleka, on i Lodovigo i jeszcze tamci dwaj na dodatek.

Pueblo pierwszą piłkę chwycił, drugą chwycił, trzecią chwycił, czwartą puścił, potem chwycił wszystkie aż do dzisiątej, i tak dalej — obronił 3/4 najtrudniejszych strzałów, i tylko się uśmiechał, kiedy mu się udało piłkę zwinąć pod siebie i wyrzucić lekko graczom pod nogi, a krzywił się, jakby mu się zbierało na płacz, kiedy lądowała w siatce Ramigez zapalił się do tej roboty, klął pod nosem brzydko jego matkę, ale widać było, że wykrzykuje to z coraz większym podziwem i dobrym humorem. Po pół godzinie, wymóciwszy Puebla tak, że się biedaczysko chwiał na nogach, zawołał: dosyć! Zbliżył się do niego, łupnął go parę razy w bark, powiedział, że go angażuje i postawił mu od razu wysoką płacę. Od tego czasu Pueblo Cochas zrobił jeszcze znaczne postępy.

O ile jednak jego umiejętności uległy w czasie pięcioletniego współżycia z drużyną należytemu dokształceniu, o tyle charakter podobno znacznie się pogorszył. Tak przynajmniej utrzymywali koledzy, wyrażając się dosłownie, że mu „woda sodowa uderzyła do nosa". Pueblo przyszedł do zespołu *Santy Barbary* jako nieśmiały chłopiec, który do każdego się uśmiechał, jakby prosił o wybaczenie; mówił mało i ostro wziął się do treningu. Uczył się ambitnie, przepuszczając coraz mniej bramek, i dalej się uśmiechał. Ale im mniej było defektów w jego grze, tym ten uśmiech robił bardziej niepokojące wrażenie. Do roku, bez jakiegokolwiek udziału ze strony Puebla i bez zmiany w odcieniu usłużnego grymasu, nabrał on zgoła innego sensu. Weterani *Santy Barbary* spostrzegli się, że jest to uśmiech wyższości, gdyż nie było już się z czego usprawiedliwiać. Kiedy Pueblo brał najniebezpieczniejsze strzały i w czasie meczu ratował kiksy swojej drużyny, zdarzające się zresztą w najlepszym zespole, jasne — że jego uśmiech mógł być tylko wyrazem pobłażania. Pueblo podsłuchał pewnego razu rozmowę kolegów, z której wynikało, że oni sobie nie życzą, by on się do nich w ten sposób odnosił; zaczął więc powściągać mięśnie twarzy i tak ją tresować, że z czasem nabrała rzeczywiście wyrazu zupełnej obojętności na bodźce związane z grą, a nawet z innymi wrażeniami poza boiskiem. Ale zwycięstwo Puebla nad własną twarzą przypadło już na ów okres jego kariery w trzecim roku współpracy, kiedy przestał w ogóle przepuszczać bramki. Zupełna obojętność jego maski przy ledwie dostrzegalnym uniesieniu jednego kącika ust w zespoleniu z absolutną doskonałością ciała wywoływała nieprzyjemne wrażenie. W atmosferze poprawnego koleżeństwa między nim a resztą drużyny wytworzyła się izolacyjna pustka. Ludzie czuli się nieswojo w zetknięciu z jego doskonałością i zwracali się tam, gdzie mogli się spodziewać potwierdzenia dla swoich ludzkich, ułomnych wartości.

Pueblo Cochas został ze swoją umiejętnością sam. Sam ze sobą i z mnóstwem pieniędzy. Miał najwyższą gażę. Było za co płacić. Przez dwa lata *Santa Barbara* przegrała tylko jeden mecz, niewysoko, z *Arsenałem*, i to tylko dlatego, że wystawiła rezerwowego bramkarza. Co więcej — na tabeli straconych bramek za ten okres obejmujący dwa sezony widniała cyfra 2. Dwie bramki, które stracił rezerwowy bramkarz. Poza tym 0. Najlepszy wynik, który jakakolwiek drużyna świata mogła uzyskać ze *Santą Barbarą*, był remis 0:0. Jest to wynik rzadki w praktyce piłkarskiej, toteż na tabeli figurowała tylko jedna taka pozycja przy 49 wygranych.

Naturalnie — niedorzecznością byłoby twierdzić, że Pueblowi nie można było w ogóle strzelić bramki tylko jego umiejętności w połączeniu z tak doskonałą drużyną jak *Santa Barbara* dały ten właśnie wynik. Ale magia cyfr wywiera urzekające wrażenie, mnóstwo ludzi twierdziło, że Pueblo Cochas rzeczywiście jest nieomylny. Co sam Pueblo o tym sądził, nie wiadomo. Można tylko wnioskować z jego zachowania, że mu n i e wolno stracić piłki. Pueblo uwierzył w to, że mu nie wolno.

Ostatnio w filmowym tygodniku aktualności ukazał się fragment jednego z najbardziej interesujących spotkań w lunetowym zbliżeniu pozycji na bramce. Po krawędzi obrazu błyska czyjś but, sztuce i łokieć jako nieważne okrawki, chodziło bowiem o środek, o uchwycenie czujności najlepszego bramkarza wszystkich czasów w niebezpiecznej sytuacji. Pueblo Cochas w rozkroku, przygięty, z palcami rozczapierzonymi na nakolannikach, wyrywa się tułowiem ku przodowi. Zdjęcie wskutek bezruchu modela jest przytrzymane i pozwala się nasycić wyrazem oczu Urugwajczyka. Są nadmiernie otwarte, zatoczone krążkami białek, zawzięte na przebicie zasłony czasu. Ktoś z publiczności wychodzącej z sali kinowej komentując utrzymywał, że to nie są oczy, tylko komórki fotoelektryczne; widocznie porównanie z maszyną było tu największym komplementem. Niewątpliwie jednak są to oczy fanatyczne, obłędne, jak spojrzenie Maurów na bardzo starych portretach.

2

Italia była niebezpiecznym przeciwnikiem, z tego sobie wszyscy ze *Santy Barbary* zdawali sprawę, a gra szła o wysoką stawkę. Nie tylko o dobre imię sportowe i materialną cenę drużyny na giełdzie, ale doraźnie o 100 tysięcy lirów, które prezydent miasta ustanowił jako nagrodę dla zwycięzcy. Ponieważ *Santa Barbara* była faworytem, ustanowienie tak wysokiej nagrody zdawało się wskazywać na jedno: że w kołach, które doradziły ten krok prezydentowi, wiedziano więcej o możliwościach własnej drużyny, niż to mógł przypuszczać człowiek z ulicy. *Italia* była niebezpieczna.

Mecz wypadł w jeden z ostatnich dni września. Perłowe niebo nad krajem od samego ranka zapowiadało upał; nie było to duszne gorąco jak w środku lata, ale pogoda lekka i przyjazna, podszyta ciągiem orzeźwiającej bryzy od morza Tyrreńskiego. Wiatr przedzierał się w koryto Tybru i w żółte ulice miasta, wiatr dotykalny, nasycony solą i jodem. Z wszystkich stron już od godziny 3-ciej po południu kilkoma arteriami spływały do Rzymu rozrzucone po szosach samochody i na sporej połaci kraju panował nastrój podniosły, jak w Hiszpanii w czasie ciągu na *fiestę*. Ponieważ była to niedziela, kupiec, rolnik i rzemieślnik śpieszył na wielkie widowisko, jadąc czym popadło: tramwajem, kolejką i przepełnionymi taksówkami; amerykańscy żołnierze śmigali na Willysach, a zamożniejsi obywatele dumnie i pomału prowadzili własne samochodziki.

Ruch szedł nie tylko z głębi kraju, ale też od wybrzeży. Ostatnie ruszyły ciężkie limuzyny bogaczy z pobliskiej Ostii, Grotta Ferrata i Marino, w których sezon już się kończył, ale miał potrwać jeszcze kilka dni. Wszystkie te samochody, zasiliwszy benzynowe arterie miasta, omiatały się po placach dokoła niemych teatrów wielofiguralnych posągów i wodotrysków i już zgodna rzeką, obok powolniejszej ławy pieszych, płynęły w kierunku wielkiego stadionu.

Stadion mógł pomieścić 60 tysięcy widzów i wypełniał się powoli prawie dwie godziny, jak ogromny elipsoidalny słonecznik, ząbek po ząbku, aż przed rozpoczęciem meczu nie pozostała prawie żadna wyrwa. Tłum na nim przeważał jasnokolorowy z ciemnieiszymi cętkami twarzy; dominowała jeszcze kremowa biel letnich męskich ubrań obok zieleni mundurów. Gęsto utkaną przestrzeń kłuły raz po raz podwójne igły lornetek, odległość na środek boiska była bowiem duża i każdy chciał sobie zapewnić jak najlepszą widzialność, zwłaszcza gdy miał miejsce na zewnętrznych wysokich obręczach stadionu.

Dwadzieścia minut przed rozpoczęciem gry na prostokąt boiska, wpisany w cynobrowe jajo ceglanej bieżni, wbiegła drużyna *Italii*, witana niezorganizowanymi jeszcze ale hucznymi okrzykami. Widocznie prezydent był już w swojej loży; istotnie — pod betonowymi dachami krótkiego odcinka odsłonecznej strony ruszały się ciemniejsze gruzełki galowych widzów. Gracze po oddaniu salutu rozbiegli się po jednej połowie boiska do lekkiego treningu. Dressy mieli sznurowane błękitne, z godłem Republiki pośrodku piersi, czarne spodenki i czarne sztuce. Drużyna niezbyt rosła z wyjątkiem dwóch albo trzech graczy, ale technicznie wytrawna, to było widać od pierwszych piłek, podawanych półwysoko od nogi do nogi i pryskających prędko w kierunku bramki.

W kilka minut za nimi wbiegła *Santa Barbara*, witana skąpszymi ale gościnnymi brawami. Urugwajczycy mieli amarantowe koszulki z niebieskimi emblematami św. Barbary z kościoła swej patronki w Montevideo, spodenki koloru khaki i w poprzek pręgowane brązowobiałe sztuce. Ich saluty na obie połowy stadionu lepiej było słychać, bo wielogłosa fala dźwięku już opadała, ruch między rzędami sączył się coraz skąpszy i nawet dziewczynki z napojami chłodzącymi zaczynały się wycofywać po głównych przejściach i wsiąkać w bufety i szatnie pod widownią.

Trening *Santy Barbary* wyglądał podobnie. Drużyna jakby się składała z marionetek uwiązanych na sznurkach wysoko w powietrzu i dośrodkowym pochyleniem figurek i ruchami wpędzała piłkę w osiatkowaną bramę. Pueblo Cochas miał sposobność kilka razy wytrysnąć jak delfin nad falę, zbierając krótkotrwałe gwałtowne oklaski bliższej połowy stadionu. Był to pokaz, nie wiadomo bowiem, czy w czasie gry nadarzą się tak efektowne sytuacje.

Potem na gwizdek sędziego, którym był Francuz, a którego nazwisko nic nie mówi, drużyny ustawiły się naprzeciw siebie, kapitanowie uścisnęli sobie dłonie i wylosowali boisko. Nastąpiła krótka bezradna cisza, przerwana donośnym stentorem głośników — to prezydent w zwięzłych słowach powitał gości i podkreślił znaczenie dzisiejszego spotkania i fundowanej nagrody. Odpowiedzieli mu kapitanowie obu drużyn do mikrofonów ze środka boiska, przedstawiciel *Santy Barbary* w języku hiszpańskim, przedstawiciel gospodarzy we włoskim. Wreszcie wycofano bagaż sprawozdawców i fotoreporterów z trawnika, sędzia uchylił się nieco ze środka i rozpoczął się mecz.

Pueblo był dzisiaj bardzo dobrze usposobiony. Jeśli poczucie osobowości przyrównamy do pływaka, wynurzonego z wody, to jego dusza była lekką skoczną boją, utrzymującą się w górnej połowie piersi i bijącą szczęsnym pulsem w gardle, u nasady szyi. W członkach czuł przyjemną gotowość czynu, wyostrzoną przez umiejętną zaprawę, tak że każdy nieznaczny ruch na jego nieruchomej pozycji sprawiał mu nieokreśloną uciechę zapowiedzi rzeczy, które mają się stać, skoków jeszcze nie wykonanych, ale drzemiących pod samą powierzchnią najbliższych dwu godzin. Na horyzoncie swoich myśli nie miał żadnego zmarszczenia, dosłownie żadnego, ani zadrażnienia ambicji, ani niespełnionych życzeń. A jeśli miał jakieś życzenia, to były po to, aby się spełnić i nic nie stało na przeszkodzie ich urzeczywistnieniu. Żywo miał w pamięci wczorajszy swój wyjazd do ogrodów Tivoli i ruin Hadriana i przypadkowe spotkanie tam z kimś bardzo miłym i dostojnym, tak dostojnym, jak musi być zjawisko kobiety obcej, pięknej i wytwornej dla wygłodzonego wilczura ze sfory Ramigeza. Ach, chętnie by się o tym pomyślało, ale nie ma czasu. Więc na później...

...Piłka jest już w akcji. Nieco poza połową. Stopuje Cimone, pojedynek z łącznikiem *Italii*, Cimone przechodzi, nie, nie przeszedł, przeciwnik trzyma się jego butów, atak *Barbary* wysypuje się tyralierą do przodu, ostrożnie bo będzie *of side*, Ramigez krzyknął coś, piłka jest u przeciwnika, przechodzi małymi łukami w poprzek boiska, o, ładnie, ładnie grają, ale już ją pochwycił Arletta, wystawia silnie do przodu, nasz atak zrywa się znowu, a był już na swojej połowie, Włosi cofają się w kilku punktach, piłka jak konik polny niewielkimi skokami przechodzi na prawe skrzydło: Bidagos i Juan wyciągają krok, ostrożnie, bo będzie *of side*. Gwizdek. Stało się. No, nic takiego. Przygotowują się do strzału. Rzut będzie egzekwował ten niski na krzywych nogach, nie znam nazwiska. Piletti zdaje się, nie wiadomo z której nogi strzeli, gracze tańczą parami przy sobie. Strzał niski, stracił długość o biodro Allonza, ale piłkę ma *Italia*, nie, znowu nasi. Ramigez zderzył się z centrem przeciwnika, tamten machnął kozła, wstał, kuleje i rozkłada ręce, no, nic takiego znowu nie było, gwizdka nie było, nie udawać, jechać dalej. O piłkę potykają się Carlos z centrem przeciwnika, który przed dwiema sekundami kulał, a teraz dmie do przodu jak jaguar, a widzisz, ty udawaczu! Ramigez został, Arletta został, Cimone został...

Pueblo rzucił okiem na jeden i drugi słupek, o metr przesunął się w prawo i o krok do przodu.

...Przeciwnik wyrwał się do przodu sam i wypuścił piłkę o pięć metrów przed siebie. Rainer w pierwszej sekundzie ciężko a potem błyskawicznie wyszedł mu naprzeciw, potężnym „czechem", aż zafurkotało, wybił piłkę na 3/4 boiska i uciesznym truchtem powrócił na miejsce, pokazując coś na palcach Miguelowi Alicante, ale Miguel nie ma czasu odpowiedzieć, bo znowu ktoś jedzie na jego połowę. Tym razem atak prowadzi trzech, ale dobrze że na czas cofnęli się Rodorigo i Allonzo, prawoskrzydłowy przeciwnika niebezpieczny, ciężki i wielki chłop i gra ostro. Ale też zanadto wypuścił do przodu, Miguel likwiduje, tamten wpadł na Miguela już bez piłki, Miguel trochę łamie się pod nim, było to nieumyślne — tak przynajmniej wygląda — Miguel poprawia sobie sztuc, nie bardzo mu się to podoba, nie lubi brutali. Już się śmieje... Ale gdzie piłka? No, na ich połowie, Ramigez, Juan, Bidagos prowadzą kombinację, żwawo chłopcy, bo dotąd niceśmy nie pokazali. Buch-buch-buch, strasznie się kotłuje przed ich bramką, z tego może być goal, z tego może być goal. Nie, obrońca podaje w ręce bramkarza. Bramkarz wybija. Piłka idzie wysoko, ich pomocnik jeszcze głową podaje do przodu, Cimone odpowiada główką, akcja na środku...

Miguel Alicante czuł się dzisiaj wyjątkowo podle. Dopiero od trzeciej w nocy spał snem przerywanym i ciężkim, po kombinacji większych ilości *Dry Martini* z winem muskatelką, który to dwusmak dawał zgagę miłowonną i piekącą i osiadał na języku upartym grzybem; nie pomagały papierosy ani woda sodowa. Od godziny trzeciej ładna Vally, średnia z siedmiu tancerek Backford Sisters, była tylko dużym obcym ciałem, które chętnie wyrzuciłoby się za burtę, na co jednak nie pozwalała mu wrodzona rycerskość wobec kobiet. Jeszcze z pół godziny medytował w nocy, kiedy podrabiana Amerykanka Vally, otulona w jasne włosy, spała snem kogoś zadowolonego i bardzo zasłużonego. Myślał sobie, że jutro ma przed sobą ciężki mecz, na którym będzie się pocił i zdychał. Pocił się zawsze z osiabienia, a zdychał po pijaństwie. Wtedy wydawał się sobie chudy, jeszcze chudszy niż był naprawdę, a takiego stanu nie można przecież uznać za wzór dobrej kondycji.

Słabą pociechą w nocy była świadomość, że Ramigez się o tym nie dowie, bo został wyprowadzony w pole zręcznie i bezapelacyjnie, ale teraz należało nadal sprostać zadaniu i nie dać po sobie poznać prawdziwego stanu rzeczy. To było ciężko. Miguel rzucił okiem na wielką tarczę elektrycznego zegara: 10 minut gry... W tym czasie przechodziło zazwyczaj pierwsze zmęczenie, o ile się od razu było w akcji. Ale tym razem nie przechodziło. Miguel, idąc bez wiary w siebie na przeciwnika, czuł noże w płucach, a stawy biodrowe jakby miał związane łykiem.

Prawoskrzydłowy *Italii* przejechał Rodoriga, potyka się z Allonzem, podał swemu łącznikowi. Miguel nawet nie rusza na niego, wiedząc, że piłka zaraz znajdzie się znowu na skrzydle. — Idę na połowę drogi, — pomyślał krótko. Przeciął też jej niski lot, ale przeskoczyła mu przez but, zbliża się do linii outowej, po której w dwóch podskokach skrzydłowy wyotera pozycję do strzału. Miguel nie żałuje już teraz wysiłku. Przeciwnik dał się zapędzić i strzelił byle jak. Piłka trzasnęła między nimi w kilku rykoszetach, jeden i drugi przejeżdżają się po niej podeszwami, co może wyglądać niezręcznie, ale w rzeczywistości jest pojedynkiem trudnym i desperackim. — Boli — pomyślał Miguel raz, czując jak mu noga wyłazi ze stawu. Przeciwnik, zgyszany tak samo jak on, skakał mu przed czołem, zwilgły w swoim niebieskim dressie, z odsadzonymi łokciami, zawzięty i silny. Czarny lok wstrząsał mu się od uderzeń.— Ty tak, a ja tak! — warczał Miguel, przewekslował nogi, przeskakując przez podstawiony hak. Piłka spazmatycznie tłukła się im między stopami. Publiczność chórem, który się spiętrzał — Hie-roni-mo, Hie-ro-ni-mo! — wzmagała w nim irytację. Nareszcie Hieronimo się prześliznął. Miguel technicznie wygrał ten pojedynek, ale kiedy wyrwał się o metr z piłką, wszyscy gracze byli dla niego niebiesko-czarną masą, z której wyjeżdżały tylko sylwetki przeciwników, swoich graczy nie było. Podał źle, piłka zaraz wróciła, na szczęście do niego, kopnął znowu, tym razem lepiej. Chciał przede wszystkim grę od siebie oddalić. Serce tłukło mu się o żebra, a ciepłe powietrze wrześniowego popołudnia było dla niego mdłe i suche, jak w krypcie przepełnionej kwiatami.

Pueblo już dwa razy dotychczas wyczuł groźną sytuację, ale wcale go to nie zatrwożyło, przeciwnie — wolałby, żeby daleki strzał lewego łącznika nie zgórował poprzeczki i żeby drugi raz centr przeciwnika spróbował wjechać na piłce, zamiast wypuszczać kiksującego szczura z 15 metrów, którego zlikwidować było stosunkowo łatwo. Lubił gęsty łopot braw, a nie taki leciutki i pobieżny, jakby kilka gołębi zrywało się do lotu. Piłka trysnęła mu z prawej nogi wysoką skośną świecą, nabierającą odległości pod koniec lotu. Wiedział, że trafia tym przed nogi Ramigeza lub Carlosa, i istotnie choć nie widział stopingu, po rzucie cała piątka pierwszej linii ataku posunęła się płynnie do przodu, a więc piłka jest przy naszych.

Miguel i Rainer stoją spokojnie jak dwa filary, dosłownie z założonymi rękami, karki pocą im się trochę, a delikatna morka furkocze w ich koszulkach. Potężne uda Rainera złocą się w skośnych promieniach słońca, Miguel jest włochaty i bledszy. Pueblo mógł nie patrzeć teraz na boisko, ale trochę powyżej, na stadion. Cętki twarzy na wprost, odległe i ukryte w cieniu, wyglądały jak krągłe ciemne ziarenka, po bokach jak podługowate lśniące łuski, zwłaszcza od strony nasłonecznionej. Jeszcze powyżej zamykała wszystko glazurowa kopuła dobrej pogody, z podróżującym w powietrzu jedynym obłokiem perłowej lotnej pary. Lubił taki klimat, jakby przeniesiony z jego ojczystych stron. Nie potrafiłby żyć w innym. Na przykład w okolicy, gdzieby nie było ogrodów, oczywiście takich ogrodów jak on to rozumiał — ogrodów południa. Wczoraj był na Monte Pincio. Niby nic — pagór pokryty trawnikiem pod wysokimi baldachimami starych rudych pinii, ale jakże przyjemny. Z góry pod dotknięciem wiatru idzie syk igieł, który powiększa jeszcze wrażenie ciszy po przebytym gwarnym *Piazza del Popolo*. Między pniami tu i tam błyśnie fragment budynku *Museo Borghese*, albo przemknie kilkoro ludzi po odległej alei. Usiadł gdzieś na ławce i ręką uzbrojoną w laskę ścigał wśród trawy bezczelną salamandrę, zapuszczającą się na gracowane ścieżki, przeznaczone dla ludzi. Barwa trawy przy niezłamanej zieleni na grzbiecie salamandry zdradzała wysiłek jesieni, jakby się w niej zmęczył życiodajny chlorofil...

Z zadumania wyrwał go zbliżający się tętent akcji na środku. Napad *Santy Barbary* cofał się na całej linii, ale w porządku, kryjąc każdego gracza *Italii*.

...Naszym brak dzisiaj wykończenia — pomyślał Pueblo — atak przeciwnika podaje sobie od nogi do nogi: centr, lewy łącznik, skrzydło. Skrzydłowy podaje do środka i wychodzi ku przodowi, Rainer wiąże lewoskrzydłowego, Arletta podchwycił i wybił na *out*, trudno wymagać czegoś więcej. Sędzia liniowy chorągiewką wskazuje miejsce. Ich gracz myli, podaje według klucza. On już czwarty raz robi taką niespodziankę. Piłka zygzakowatą linią zbliża się do pola karnego od prawej strony. Nawet pewny Rainer dał się wyminąć. Ziemia już kurkoce, a mimo to zdaje się, że słychać pisk trawy. Kotłuje się przynajmniej między ośmiu ludźmi. Nagle jakieś miejsce się odsłania i wpada oślepiający strzał!

Pueblo robi długą robinsonadę do prawego słupka, przez mgnienie czuje w palcach szczęsne dotknięcie piłki, ale została ona tylko wypchnięta. Zanim się zerwał do nowej obrony, wie, że przeciwnik poprawia. Wtedy — jakby zderzenie dwóch worków z kartoflami, łomot kości — to Rainer był na miejscu i wybił na *out* bramkowy. Pueblo podniósł się. Spadają rzęsiste oklaski. W pierwszej sekundzie wcale się do nich nie poczuwał. To Rainer uratował sytuację. Potem dopiero upewnił się w sobie, że i on zrobił co do niego należało. Obrona była wzorowa, tylko człowiek nie może być gumowym pajacykiem z ołowiem w tyłku, żeby zaraz wstał.

Rzut rożny bije lewy pomocnik *Italii*. Pueblo smutno ustawia się w przeciwległym końcu bramki. Żaden bramkarz nie lubi tego natłoku obcych i swoich graczy na przedpolu, co zwielokrotnia szybkość strzału przez rykoszety. Pięć sekund wystarczyło jednak, żeby się opanować. Ramigez spojrzał na niego ciepło, porozumiewawczo i z uznaniem. — Kiju jeden — pomyślał Pueblo — zamiast mnie świecić bakę, powinieneś być pod bramką przeciwnika.

Wpatruje się w sędziego, publiczność wstaje w niektórych miejscach, gwizdek. Słychać pchnięcie w chwili uderzenia, piłka przychodzi stamtąd lekko, parabolą, dostaje się pod czyjeś nogi, bardzo prędki łomot wielu par butów — i — „Mam szczęście, mam szczęście!" — wykrzykuje w ściśniętej piersi Pueblo, zwijając piłkę pod brzuch i roztrącając graczy przed sobą do przodu. Własna i obca drużyna oddala się żwawo w pokrzykach, słychać zawołanie Ramigeza ostre i krótkie, i brawa długie, gęste, natrętne, uszczęśliwiające. Piłka wychodzi daleko. — Mam szczęście — powtarza sobie Pueblo zawracając do bramki — szła w prawy róg, oni umieją strzelać, ale ja mam szczęście! — Gra znowu toczy się w oddali, a on jest sam.

(Dokończenie w najbl. numerze)

TADEUSZ PEIPER

Sartre'owska tyrania oczu

I

Jednoaktówka Sartre'a „Drzwi zamknięte" (która niedawno zeszła z afisza Teatru Małego) to urywki z życia zwyrodnialców, poprzez które natrętnie kroczy temat oka. Kroczy poprzez cały utwór, staje nad każdym jego momentem, wpływa na jego rozwijanie się.

Niesie Sartre oko we wszystkich jego znaczeniach i pełną serię tych znaczeń rozmieszcza w utworze z pasją systematyzującego filozofa.

Logicznie biorąc, pierwszą funkcją oka jest jego otwieranie się i zamykanie; system wymaga wypowiedzi co do tego, więc otrzymujemy ją. Zawiera ona w sobie uzależnienia od ludzkich typów. Dezerter wojenny twierdzi, że człowiek odczuwa każde opadnięcie powieki jako odcięcie oka od świata, unicestwienie świata, a przez to jako uspokojenie. Piękna kobieta, próżna i lekko żyjąca, gdy przymyka oczy, traci równowagę.

Logicznie biorąc, zaraz następną funkcją oka jest umożliwianie patrzącemu oglądania samego siebie. System wymaga wypowiedzi co do tego i otrzymujemy ją ustami kobiet. Piękna kobieta, próżna i lekko żyjąca, ustawia się zawsze tak, aby widzieć się w lustrze, a w sypialni ma aż sześć wielkich luster. Druga kobieta, która chce ją mieć dla siebie, ofiarowuje jej w miejsce zwierciadła swoje oczy i całą siebie, namiętnie kusi ją zapewnieniem, że jest lepsza od zwierciadła, działa na jej próżność obietnicą, że będzie najwierniejszym zwierciadłem.

A teraz funkcja najważniejsza: patrzenie na innych, widzenie innych. System wymaga, aby funkcję tę uwzględniać nie tylko w znaczeniu wzrokowym, ale i wyobraźniowym — jako powstawanie widzeń wewnętrznych, wyłaniających się z nas samych; system wymaga także, aby funkcję tę rozumieć w znaczeniu przenośnym jako myślenie o innych i jako ocenianie innych Zgodnie z tymi wymogami, „Drzwi zamknięte" przynoszą wszystkie rodzaje tej funkcji oka. Właściwiej: jej to poświęcony jest utwór. Bo w niej tkwią według autora najważniejsze sprawy życiowe, najważniejsze motory i hamulce życia, te które decydują o losie ludzi.

Przykłady? O:

Do pięknej kobiety mówi druga: gdybym zamknęła oczy, gdybym nie chciała patrzeć na ciebie, cóż by ci przyszło z twojej piękności? Ta sama kobieta wyznaje, że pogardliwym wpatrywaniem się w swego kuzyna ściągnęła na jego umysł takie zamieszanie, iż biedak przez nieuwagę dostał się pod tramwaj i poniósł śmierć. Ta sama kobieta, gdy w jej obecności mężczyzna pochyla się nad inną, występuje z prośbą, w jej przekonaniu najskuteczniejszą: będzie patrzyła na to, co tamci będą czynili.

Dezerter po pierwszym uścisku kobiety odsuwa się od niej, bo zaczynają w nim działać widzenia wyobraźniowe, w których pojawiają mu się koledzy obgadujący jego tchórzostwo. Piękna kobieta widzi wyobraźnią przyjaciółkę przymilającą się w tańcu do jej kochanka i usiłuje rozerwać tę parę groźnym wpatrywaniem się w nią... z salonu, w którym przebywa.

Wpływ oczu oceniających występuje w utworze ze szczególną siłą. Piękna kobieta wyznaje, że wszyscy uważali ją za szmatę, i że ona sama też się za to uważała, ale że „mały głuptas", który kochał się w niej nazywał ją swoją wodą życia i kryształem swojego świata, i to podnosiło ją, to wszystkie jej winy pomniejszało. Dezerterowi, do którego przylgnęło miano tchórza, niezbędne są oczy, które by spojrzały na niego inaczej. Gdyby znalazł się ktoś, kto by z pełnią przekonania twierdził o nim, że jest odważny, że nie mógł uciec, byłby uratowany. Jedna z kobiet daje mu to łaknione twierdzenie, ale druga z zazdrości wskazuje na jej nieszczerość, a potem, nie tając egoistycznych pobudek, rzuca w potępionego inne spojrzenie: tchórz! tchórz! jesteś tchórzem, bo ja tego chcę! I ostrzega go przed niebezpieczeństwem, jakie stanowi dla niego sama jej wola szkodzenia mu i jej zdolność wytworzenia wokół niego opinii szkodliwej dla niego: ja jedna jestem tłumem widzów, jestem tylko spojrzeniem, które na ciebie pada, tylko myślą, która myśli o tobie. Wskazuje więc groźnie na fabrykację opinii jako funkcję decydującą o moralnym wyglądzie człowieka.

Zależność człowieka od działań patrzenia doprowadza Sartre'a do konkluzji krańcowej. Gdy kobieta, widząca wyobraźnią przyjaciółkę tańczącą z jej kochankiem, nie może rozerwać tej pary groźnym patrzeniem, zadaje sobie pytanie, czy jest już niczym, a gdy przestaje ich widzieć (a wraz z tym słyszeć muzykę, w takt której tańczyli i w takt której ona sama tańczyła), stwierdza swój koniec: **ziemia mnie opuściła. Podobnie druga kobieta stwierdza, że wszystko skończone, że umarła**, gdy przestaje widzieć wyobraźnią własny pokój, w którym czyniła zło i w którym ją po jej zbrodni zaaresztowano. A dezerter, gdy już wyobraźnią nie widzi i nie słyszy swych kolegów, dochodzi do wniosku, że już o nim nie myślą i nie mówią, że skończyli z nim całkowicie, i nabiera przekonania, że na ziemi jest już niczym.

II

Trzeba przyznać Sartre'owi, że myśli, które chce wypowiedzieć, wypowiada uderzająco. Lecz jakaż jest ich wartość? Przy ograniczaniu się do „Drzwi zamkniętych" nie można powiedzieć inaczej: to, co w tych myślach jest prawdą nie jest wyłączną własnością Sartre'a, to zaś, co w nich jest wyłączną własnością Sartre'a, nie jest prawdą.

Wpływ, jaki oczy drugich mają na postępowanie ludzi, uświadamiał sobie chyba już człowiek pierwotny. Uświadomienia późniejsze, obejmujące sobą coraz to nowe pola działań ludzkich i coraz to nowe warstwy przeżyć ludzkich, podejmowała literatura w różnych odmianach. Oczy we wszystkich znaczeniach, jakie nadaje im Sartre, przeszły przez wszystkie gatunki literackie.

Odrębność jednoaktówki Sartre'a stanowi przede wszystkim to, że jest ona oczyma naszpikowana. Wydobywając przeszłość trojga ludzi i rozwijając teraźniejsze stosunki między nimi, wnosi autor sprawę oczu w każdy moment ich życia. Ta przesada w ilości jest słaba stroną „Drzwi zamkniętych", bo nie pozostawia miejsca na prawdziwie wartościowe ukazywanie zjawisk. Otrzymujemy wszystkie odmiany funkcji wzroku, ale każda z odmian jest tylko pobieżnie zaznaczona. Otrzymujemy wszystkie warianty, ale nie otrzymujemy żadnego odkrycia wewnątrz wariantów. Myślowe wariacje na temat oka mogą być interesujące jako intelektualna spekulacja, ale nie mogą zastąpić świeżo podanego obrazu życia. Wpływy oczu drugich wzbogacają literaturę, jeśli występują w niej w coraz bardziej odkrywczych analizach. Aby pogardliwe patrzenie mogło wartościowo ukazać swój wpływ na podtramwajową śmierć, musielibyśmy poznać szczegółowiej i konkretniej przebieg jego działania, psychikę nieszczęśliwca, cechy jego wrażliwości, sposób życia, warunki mieszkaniowe, i analogicznie musielibyśmy poznać obie kobiety, z którymi złączyły go losy. Aby sprawa dezertera i opinii przyniosła nowe oświetlenia, trzeba by zjawisko podać w nowej konkretności; bo przecież każdy oświecony człowiek wie, że istnieje fabrykacja opinii, która w pewnych wypadkach działa bezceremonialnie. Może Sartre w innych dziełach zajmował się zjawiskami inaczej i może zadaniem „Drzwi zamkniętych" jest skupić wyniki dzieł innych, zrezygnować ze szczegółowości i konkretności na rzecz pełności serii, na rzecz pełności kolekcji myślowej; w każdym razie to, co otrzymaliśmy, nie daje nam prawdy obrazu życiowego.

Nie daje jej nam także z powodu wyłączności, z jaką Sartre traktuje oczy. Jest on opętany okulomanią. Urabia sobie jakiś dziwaczny okulizm. Gdyby postępować analogicznie do niego, można by zbudować system na przykład z idei dotyku, można by z niej wyprowadzić zasadnicze przejawy życia i wszystkie losy człowieka. We wszystkim jako istotę zjawisk można by umieszczać działania dotyku: w pracy, w jedzeniu, w piciu, w kochaniu, w radościach mieszkaniowych, sportowych, podróżniczych, w walkach jednostkowych, grupowych, społecznych, państwowych. Gdyby teatr „Miniatury" chciał dać dobrą zabawę intelektualną, mógłby ze zdarzeń życiowych, z których Sartre wywiódł swą jednoaktówkę o tchórzu i dwóch kobietach, wywieść inny utwór dramatyczny, zestawiając — bez satyry! bez groteski! — każdy moment Sartre'owej akcji ze zmysłem dotyku. Niektórych widzów pasjonowałby taki utwór, ale jego prawda o życiu byłaby nikła, a jego wewnętrzne proporcje byłyby fałszywe. Tymi samymi wadami obciążone są „Drzwi zamknięte".

Nie zawiera też prawdy Sartre'owska tyrania oczu. Działania wzrokowe są w „Drzwiach zamkniętych" nieuczciwe, podłe, niszczycielskie, dręczycielskie. Jeśli zdarzają się wśród nich działania dobroczynne są nietrwałe i opierają się na fałszu. A przecież spojrzenia drugich mogą wpływać na człowieka inaczej. Pomijając ich usłużność jako nosicieli sympatii, a ograniczając się tylko do ich związków z wewnętrznymi wartościami człowieka, nie trudno dostrzec tu działania dodatnie. Spojrzenia drugich mogą zahaczać o tkwiące w człowieku siły cenne, mogą oczekiwać od niego korzystania z tych sił, mogą wskazywać drogi do nich. Są spojrzenia, które wymagają i pomagają. Takie czując na sobie, pragnie człowiek dociągnąć się do nich i często — choćby przez trudną walkę ze samym sobą — dociąga się do nich rzeczywiście. Spojrzenia z zewnątrz mogą być jak czułe dotyki, które modelują i modelunkiem swoim ulepszają. Niewątpliwie czynią ludzie wiele ze względu na oczy, które na nich patrzą, ale nie przemawia to ani przeciw tym oczom, ani przeciw tym uczynkom. Nawet bohaterowie, nawet męczennicy pragną nieraz oczu, które by patrzały na ich czyny. Z jakąż wspaniałą prawdą o człowieku kończy Słowacki strofy o śmierci kapitana Meyznera: „Niechaj nas przecie widzą, gdy konamy!" Nie wynika z tego wcale, aby dla bohaterów czy męczenników oczy drugich były decydujące; znaczą, bo są potrzebne obu stronom. I jeszcze... Jeszcze zjawisko wielkich indywidualności, które umieją nie liczyć się z obrazem, jaki wytwarzają wokół siebie, umieją narażać się na oskarżenia i oszczerstwa, umieją nieść siebie wybranymi przez siebie drogami. Nie przeoczają przy tym, że istnieją różne gromady oczu i że między gromadami oczu toczy się walka o wygląd każdego z ludzi.

Nie uwzględnia Sartre żadnej z dodatnich funkcji oczu, bo...

III

Jakżeż on sam widzi ludzi?

Jako podlców!

Ale z wyrafinowaną chytrością (i sposobami literackimi — nowymi, cennymi!) dawkuje ich podłość. Gdy czynią wyznania mają one w sobie tyle niejasnej zawiłości, ale jej trzeba, aby nie wywołały natychmiastowego wstrętu. A sposób układania dialogów rozrywa szpetotę dialogujących i w ten sposób czyni ją mniej wydatną. Wystarczy jednak zebrać rozrzucone dane, aby figury „Drzwi zamkniętych" ujawniły całkowicie swą ohydę.

Są to ludzie zwyrodniale źli. Tchórz i dezerter torturował dobrą i łagodną żonę tylko dlatego, że to było łatwe, tylko dlatego, że uważał ją za kobietę, która urodziła się na ofiarę. Próżna i lekko żyjąca kobieta, ta, która sama nazywa siebie szmatą, z próżności utopiła nowonarodzone dziecko, czym spowodowała drugą jeszcze śmierć, bo ojciec dziecka z rozpaczy popełnił samobójstwo. Druga kobieta wyraźnie mówi o sobie, że aby istnieć, musi czuć, jak inni cierpią dokoła niej, że bawi ją, gdy ludzie przez nią cierpią i umierają i wyznaje, że wśród najbliższych spowodowała dwie śmierci. Oto typki „Drzwi zamkniętych".

Dla takich zwyrodnialców staje się piekłem każda sytuacja życiowa, w której wzrok — w jakiejkolwiek odmianie — dotknie ich podłości. Dezerter i dręczyciel żony cierpi piekielnie, bo nękają go widziadła na jawie, w których pojawiają się obgadujący go koledzy i udręczona żona, bo czuje się rozdzieranym spojrzeniami wszystkich otaczających go ludzi. Próżna i lekko żyjąca kobieta cierpi piekielnie, gdy pozbawiona jest oczu, którymi mogłaby sycić swą próżność, lub gdy własnymi oczyma nie może unieszkodliwiać rywalek. Druga kobieta, ta która, by istnieć, musi czuć, jak inni cierpią, przygasa, zamiera, gdy jest sama i nie widzi cierpiących. Stworzył Sartre dla swych postaci piekło wzroku.

Nadał mu zarysy syntetyczne. Umieścił je w salonie, bo dla tych typków każde mieszkanie może być piekłem. Umieścił je w salonie niejako publicznym, bo gdziekolwiekby byli, grożą im męki piekielne. Umieścił je w salonie z drzwiami zamkniętymi, bo z ich mąk nie ma wyjścia.

IV

Są skazani na dożywotnie więzienie — w spojrzeniach. Takie ujęcie pozwala Sartre'owi włączyć w syntetyczne piekło, czy w syntetyczny salon — także rzeczywiste więzienie.

(Plastyk Teatru Małego, p. Zenobiusz Strzelecki, wnikliwie wyraził syntetyczność miejsca akcji, malując na ścianach salonu jakby cienie krat wplątujące się w ścienny deseń i wprowadzając przy wejściach osób sugestywne rozchylanie się jednego załomu ściennego, które uwalnia scenę od skonkretyzowanych drzwi. Znakomite).

Na więzienie z lat niemieckiej okupacji wskazuje seria szczegółów. Wkraczamy w sprawę najprzykrzejszą. Na tle wojennych i okupacyjnych mąk naszego kraju, na tle naszej wiedzy o okrucieństwach niemieckich i na tle naszego do nich stosunku, ludzie „Drzwi zamkniętych" nabierają dla nas niebezpiecznego znaczenia. Mężczyzna, który z okrutną złośliwością torturuje żonę tylko dlatego, że jest to łatwe w stosunku do człowieka, rzekomo już przez naturę zrodzonego na twór niższego rzędu, na twór przeznaczony na ofiarę dręczycieli z urodzenia, kobieta, która musi widzieć dokoła siebie cierpienie, aby istnieć; druga kobieta, która z kaprysu popełnia dzieciobójstwo; katostwo, o jakie ta trójka oskarża siebie, wzajemnie, to przecież jest — z wolą czy bez woli autora — pośrednia obrona niemieckich okrucieństw, bo ukazuje okrucieństwo jako powszechną właściwość ludzi. Samo więzienie jest w pewnej mierze podobną obroną, skoro w swej syntetyczności bierze w siebie także Hindusów i Chińczyków, niewątpliwie jako przedstawicieli najstarszych epok cywilizacji, a więc bierze w siebie niejako prawięzienie, przez co zwalnia swoje tortury od piętna wyłączności niemieckiej. I nie jest w porządku, że ci, którzy skazują na to torturujące więzienie, i ci którzy stanowią obsługę tego torturującego więzienia, mają oczy tylko nie mrużące się.

Nie stać nas na tolerancję wobec faktu, że takimi są ludzie „Drzwi zamkniętych", utworu zawierającego aluzje do przeżyć okupacyjnych. Zadajemy sobie pytanie, czy Sartre'owska tyrania oczu staje obok tyranii hitlerowskiej — jako siostra?

Jeden utwór nie wystarcza na danie odpowiedzi. Trzeba sięgnąć do innych.

Tadeusz Peiper

„PAN INSPEKTOR PRZYSZEDŁ" PRIESTLEYA W TEATRZE POLSKIM W WARSZAWIE

Rysunki M. Rudnickiego

A. Zelwerowicz (Inspektor)

M. Dulęba (pani Birling)

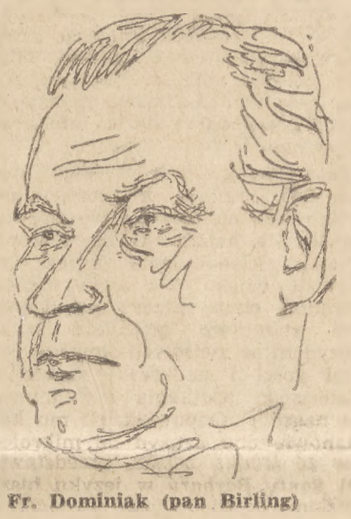

Fr. Dominiak (pan Birling)

J. Karpińska (córka Birlingów)

MARIA RZEUSKA

Stosunki polsko-czeskie w literaturze

Również w nauce o literaturze znalazły wyraz żywe w ostatnich czasach wzajemne zainteresowania polsko - czeskie. Książka prof. M. Szyjkowskiego *) obejmuje wprawdzie jedną tylko epokę, okres wpływu naszego romantyzmu na pewien odcinek kultury narodowej Czechów, lecz traktuje go już z całą dokładnością.

Określenie „polski romantyzm" oznacza tu tylko poezję romantyzmu, przy czym niemal wyłącznie Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Autor stara się wskazać drogi wpływów polskich na kształtowanie tendencyj poetyckich i wizji artystycznej w literaturze czeskiej. Takie ujęcie nie było sprawą łatwą. Romantyzm polski, choć klasycznie narodowy, był u podłoża nierozerwalnie związany z romantyzmem angielskim, niemieckim i francuskim. Groziło więc niebezpieczeństwo przypisania wpływowi polskiemu elementów ogólnoeuropejskich. Prof. Szyjkowski zdaje sobie z tego sprawę i nieraz zaznacza, że ten lub tamten passus, pomysł, koncepcja, choć łudząco przypominają źródła polskie, muszą być odniesione do Byrona, Walter Scotta lub innych twórców epoki romantyzmu. Czy mu się to w pełni udało, trudno orzec. Ma się czasami wrażenie, że omawiając np. twórczość Karola Hynka Machy, jednego z najwybitniejszych czeskich poetów, Szyjkowski złożył na karb polskich wpływów nieco za wiele.

W pierwszych trzech rozdziałach autor omawia kolejno przyjęcie, z jakim się spotkała twórczość Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego i ich wpływ na pisarzy czeskich. Czwarty rozdział poświęca Vrchlickiemu i jego związkom z polską literaturą. W rozdziale piątym wracamy do Słowackiego. Dowiadujemy się o niepowodzeniu „Beatrix Cenci" i „Balladyny" na scenach czeskich, śledzimy wpływy polskie w utworach Zeyera. Rozdział ostatni zawiera zestawienie Brzeziny ze Słowackim. W dotychczasowej krytyce uważano tych poetów jedynie za psychiki pokrewne, prof. Szyjkowski wykazuje szereg zależności, wypływających u Brzeziny z obcowania z dziełami Słowackiego, wpływów we właściwym znaczeniu tego wyrazu.

Rozważania idą w porządku chronologicznym. Początek oddziaływania romantyzmu polskiego w Czechach ustala autor na rok 1828, koniec na rok 1912 (data śmierci Vrchlickiego). Pole przygotowane było już wcześniej przez wizyty wybitnych przedstawicieli literatury i kultury polskiej: Niemcewicza, Brodzińskiego, Fr. Malewskiego, Mickiewicza u budzicieli czeskiej świadomości narodowej, uczonych filologów w Pradze. Prawdziwy kult polskiej literatury rozpoczął się od Mickiewicza, od ballad. Zajęcie się Krasińskim jest najsilniejsze w latach 1860 — 1880. Zainteresowanie Słowackim da się prześledzić od roku 1860 aż do pierwszego i drugiego dziesiątka lat dwudziestego wieku. Najcelniejsze utwory naszej poezji romantycznej, „Dziady", „Pan Tadeusz", „Król Duch" doczekały się przekładów świetnych, kongenialnych. „Dziady" tłumaczył wielki poeta czeski Vrchlicki, „Pana Tadeusza" Eliszka Krasnohorska, „Króla Ducha" Adolf Czerny. Wszystkie wybitniejsze utwory polskie przełożono, niektóre kilka razy.

Ale i na tę okoliczność zwraca prof. Szyjkowski uwagę: przyswojenie polskiej literatury, i to właśnie romantycznej, nie nastąpiło bez oporów. Umysłowość i psychika czeska kształtowały się w innych warunkach społecznych i politycznych. Czech, trzeźwy racjonalista i raczej materialista, wyrósł z ludu i w swych wyzwoleńczych tendencjach narodowych jest bliski ludowi. Bohaterskie, idealistyczno - mesjanistyczne dzieła polskiego romantyzmu, gorejące egotycznym patriotyzmem szlacheckim, często przeniknięte duchem artystokratycznym, raziły go raczej, wywoływały odpór i ostrą krytykę. Nieporozumienia i niezrozumienia zdarzały się zwłaszcza przy wystawianiu polskich utworów na scenie, a przedtem w interpretacjach i ocenach, ogłaszanych przez czeskich filologów. To stanowisko budzi w profesorze Szyjkowskim rodzaj niechęci, zarzutu, nie zawsze co prawda wyraźnie sformułowanego, że Czesi nie dosięgali szczytów polskiej twórczości romantycznej, że byli jakby nieco zbyt przyziemni. Prof. Szyjkowski nie ma chyba racji lub ma ją w bardzo ograniczonym zakresie. Cechy wytykane polskiemu romantyzmowi spostrzegano trafnie i słusznie, co zresztą literatury naszej bynajmniej nie pomniejsza. Taką stworzyła historia, historii nie potrzebujemy i nie możemy cofać. Istotne wartości pozostaną, nawet jeśli są tam elementy, które u nas samych lub u innych narodów budzą zastrzeżenia. Przeważna część analiz, zawartych w książce, przekonywa nas zresztą, że trzeźwi Czesi nie oparli się czarom najbardziej wybujałych utworów romantyzmu polskiego. I chociaż przykładali czasem do nich miarę nietrafną, przeceniając jedne, nie doceniając innych, to jednak Mickiewicza ocenili dobrze nie tylko jako największego polskiego poetę, ale również jako najwybitniejszego poetę Słowiańszczyzny. W historii swej Czesi ciążyli raczej ku Rosji i nie zawsze rozumieli negatywny stosunek Polaków do Rosji carskiej. Niemniej znalazło się wśród nich wielu, którzy potrafili zrozumieć również polską ideologię niepodległościową, przeciwstawiającą się Rosji carskiej. I z polskich dzieł, z Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czerpali podniety nie tylko dla twórczości poetyckiej, lecz również i dla dążeń wyzwoleńczych. Do takich należał przede wszystkim Macha, z wybitniejszych Fricz i Staszek.

Zagadnienie, którym się zajął w swojej książce prof. Szyjkowski, jest poważne i szczególnie aktualne. Bardzo niewiele też mamy studiów o wpływie literatury polskiej na obce. Badacze główną uwagę poświęcali raczej kwestii naszej zależności od innych narodów. Obawiam się jednak, że książka prof. Szyjkowskiego przesadza w innym kierunku. Autor nie określa bowiem, jakie miejsce zajmuje wpływ polski w stosunku do innych wpływów. Z jego rozważań moglibyśmy wysnuć wniosek, że romantyzm czeski prawie wszystko zawdzięcza literaturze naszej, że jest tylko odblaskiem wspaniałości naszego romantyzmu. A przecie Czesi utrzymywali stały kontakt z literaturą europejską i prądy romantyczne docierały do nich najpierw przez literaturę niemiecką.

Pomimo licznych wymienionych zalet, książka prof. Szyjkowskiego nie należy do najlepszych studiów naukowych. Jest trudno czytelna, materiał nie jest przekonywająco ugrupowany i jasno rozplanowany. Na pozór prosty układ: w kolejności omawianych autorów — jest zbyt mechaniczny, przytłacza zagadnienia, które należało wyodrębnić. W wąskich ramach rozdziałów tłoczą się kwestie pokrewieństw stylowych, podobieństwa koncepcyj artystycznych, tłumaczeń, wydawania, wystawiania na scenie, wpływów ideologicznych, krytyki literackiej itd. Wskutek tego żaden problem nie zarysowuje się plastycznie i jednolicie od początku do końca. Im dalej, tym bardziej lektura nas męczy. Jest to przecież solidny, gruby tom! Tekst przeciążają też cytaty, często nie tłumaczone z języka czeskiego. Autor liczy zapewne na ich zrozumiałość, ale nie zawsze słusznie. Co prawda, te liczne zestawienia są interesujące. Znajdujemy przy nich uwagi pełne polotu, wyczucia delikatności problematyki wpływów poetyckich, uwagi, świadczące o umiłowaniu i rzetelnej znajomości literatury polskiej i czeskiej. Ale i tu trzeba wysunąć zarzut. Nie wiemy początkowo, dla jakiego czytelnika autor pisze — polskiego, czy czeskiego? Zapewne dlatego, że książka jest, jak się dowiadujemy ze wstępu, wyciągiem z wydanych w Czechach sześciu tomów w języku czeskim. Czytelnik polski niepotrzebnie otrzymuje informacje, które były pożyteczne dla czytelnika czeskiego.

Największą wadą studium jest styl i język wykładu. Długie, skomplikowane, zagmatwane zdania. Niejasna, odznaczająca się brakiem prostoty składnia. Tok ospały, mało zajmujący. Trzeba nieraz parokrotnie powtarzać czytanie poszczególnych ustępów, żeby wyłuskać z nich sens, który zawierają. Poza tym razi pretensjonalność i frazeologia.

Nie byłoby słuszne, gdybyśmy na tych uwagach zakończyli recenzję. Należy stwierdzić, że studium prof. Szyjkowskiego jest pożyteczne, potrzebne i aktualne.

Maria Rzeuska

*) Biblioteka Czeska. Tom I. **Marian Szyjkowski.** Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym. Poznań, Instytut Zachodni, 1947: str. 492 i 12 nl i 1 knl. erraty

TADEUSZ BREZA

Pożegnanie ze śmiercią

Kornel Filipowicz

Zbiór opowiadań Kornela Filipowicza — „Krajobraz niewzruszony"*) — przeczytałem ze szczerym zainteresowaniem. Dobra książka! Okupacyjna, martyrologiczna. Porusza zjawiska znane, postaci, z którymi spotykaliśmy się. I w rzeczywistości i u poprzedników Filipowicza. A mimo to wciąż jeszcze nie wyeksploatowane. Pomimo Nałkowskiej, Szmaglewskiej, Borowskiego, Rusinka i tylu innych. Nadal nie załatwione przez pisarzy w sposób dostateczny i ostateczny.

Czemu niedostateczny? Czy książki Nałkowskiej lub opowiadania Borowskiego mają braki artystyczne lub intelektualne, czy materiałowe? Żadnych. A jednak, kiedy się rozmiar ich relacji zestawia z rozmiarem historycznego zjawiska, którego dotyczą, relacje sprawiają wrażenie prologu, przedmowy. Ale nie dlatego, że są krótkie. Albo raczej nie tylko dlatego. Lecz dlatego, że pojedynczymi błyskami próbują oświetlić noc. A nie łuną!

Łuna jednak, to nie sprawa jakości piór, ale ilości. Pisarze masowo uderzając w temat, posuwają wiedzę dalej, niż pojedynczymi wypadami. Atmosfera wspólnego zainteresowania dopinguje. Temperatura wskutek gromadnego wysiłku wzrasta. My jednak taką gromadą nie rozporządzamy; jest nas za mało! Czy mówiąc ściślej: pozostała nas z wojny niedostateczna ilość.

A do tego życie nie stoi w miejscu. Od dawna tak krótko nie zatrzymywało się na przystankach, jak obecnie. Pod adresem literatury kierując nowe pytania, stawiając jej przed oczy nowe zadania, nowe zagadnienia. W momencie, kiedy ta literatura nie przeszła całej — jak powiada Filipowicz — „drogi powrotnej". Nie przesunęła się piórem po śladach świeżo minionej epoki.

I już się nie przesunie! Nie wypowie do dna. Zmuszona do porzucenia tych tematów, o których pisze Filipowicz, pomimo, że w takim porzuceniu będzie coś paradoksalnego i okrutnego. Ponieważ porzuci je — odwołana do nowych zadań — literatura kraju, który w zakresie męczeństwa i śmierci posiadł najgłębszą wiedzę i za zdobycie jej najdrożej zapłacił. Porzuci, dając się prześcignąć krajom, które — i tu gorzki paradoks! — ze względu na to, że poniosły mniejsze straty w ludziach, a więc i wśród pisarzy, będą mogły na temat tych strat szerzej się rozwodzić. Szerzej, głębiej, dokumentniej i — jak to bywa, kiedy literatura może związać z zagadnieniem większą ilość piór — w sposób bardziej ważki. Nie poradzimy na to. Termin prekluzyjny na składanie zeznań mija. Wysiłek nad odtworzeniem cierpień zbliża się ku końcowi. A więc i wysiłek literackiego konkretyzowania zjawiska obozów. Ich opisu, analizy. I dlatego, kiedy wczytuję się w interesującą książkę Filipowicza, zdaję sobie sprawę jednocześnie z tego, że nie powiedział wszystkiego, tak jak cała nasza obozowa literatura, a zarazem uprzytamniam sobie, że może słucham jej ostatniego słowa.

Książka, która debiutuje Filipowicz — niektóre opowiadania wchodzące w jej skład drukował w „Odrodzeniu" i „Twórczości" — ma dużą wagę gatunkową. Jest to książka surowa i ambitna. Składa się z opowiadań luźno z sobą związanych: niekiedy postać z jednej noweli przeskoczy do drugiej, czasami opowiadania spokrewnią się z sobą tematycznie, terenowo. Ale zasadniczo jest to asortyment typowo wojenny. Uwagą autora kierowały okoliczności, przypadek, nie zamysł, system. Ale kiedy przenosimy się krytyczną myślą od całości tomu do poszczególnych jego członów, mijamy strefę, którą rządzi los, a wkraczamy do strefy, nad którą panuje pisarz. Opowiadania Filipowicza mają doskonałą budowę, ciekawą, nowoczesną. Pisane są z pełną kontrolą.

Wszystkie są pod pewnym względem charakterystyczne. Filipowicz postaci rysuje mocno, tło kreśli solidnie, zdarzenia — scena po scenie — notuje z uwagą. Oczami surowymi, piórem podchodzącym do roboty w sposób zasadniczy. Natomiast sam konflikt, w który wplątuje postaci, przysłania. O rezultatach psychologicznych spraw wyraża się półgłosem. Dodaje to opowiadaniom uroku. Zwłaszcza że poza półsłówkami wyczuwa się u Filipowicza dużą wiedzę o ludziach, z której korzysta pod pewnymi warunkami. Po pierwsze: nie posługując się konwencją psychologicznej wszechwiedzy autora. Po drugie: nie naruszając proporcji obowiązującej w rzeczywistym świecie pomiędzy tym, co widzimy z człowieka, a tym, co wiemy o jego tajniach duchowych. Dopiero dobrze usadowiwszy nam postać przed oczami, Filipowicz ryzykuje krok w jej głąb. Ryzykuje słówko na temat bardziej skomplikowanych stosunków psychologicznych pomiędzy nią a innymi ludźmi. Ma się wrażenie że popychają go do nowel ludzie o skomplikowanych pobudkach czy finezyjnych psychologiach. Ale że za te psychologie Filipowicz przenosi ich karnie do postaci drugiego rzędu.

Na przykład w opowiadaniu „Śnieg" i kontynuującym je „Spotkaniu w Dewonie" Filipowicz osoby kolejarza Kacperka, która czyni je tak dramatycznymi, nie wysuwa na pierwszy plan. Konsekwentnie każe jej się snuć za kulisami, front noweli murując soczystymi figurami statystów. Podobnie w opowiadaniu „Dom nad rzeką"; pulsem przesyca je stosunek bohatera do Katarzyny, znowu cofnięty w głąb noweli, z prześliczną delikatnością zdradzony pod koniec w paru słówkach. Albo w świetnej „Balladzie", gdzie Filipowicz puszcza w ruch dwu mężczyzn poróżnionych, którzy kłótnię wyniosą z obozu na wolność — dopiero na swoje nieszczęście! — nie powie jednak, o co się pokłócili. Im konflikt istotniejszy dla noweli, im bardziej delikatny i psychologiczny, tym oszczędniej Filipowicz nim operuje. Tym oszczędniejszy jest w informacjach na jego temat.

Odmawia nam informacji, ale nie odmawia wzruszeń. Przeciwnie! Zwłaszcza w dwu pierwszych wypadkach siła naszego wzruszenia opiera się na naszej niewiedzy, a ściśle na naszej własnej wyobraźni puszczonej w ruch przez Filipowicza. Chcąc mu dokuczyć, można by zaryzykować powiedzenie, że najszczęśliwiej posługuje się tym, czego nie dotyka.

Ale to butada! W istocie każdy, kto próbował pisania, wie, że najtrudniejsza rzecz w tej sztuce, to sztuka pomijania. Sztuka decydowania się na niedomówienia. Ryzykowanie przy tworzeniu luzów i okienek perspektywicznych. Filipowicz ryzykuje i wygrywa. Książka jego nabiera wymiarów. Zyskuje na powietrzu.

Filipowicz nie tylko umiejętnie posługuje się niedomówieniami, w równym stopniu panuje nad elementami, które wysuwa na plan pierwszy. Charakteryzuje ludzi doskonale, i w bezpośrednim opisie i w biograficznym zarysie. W stosunku do postaci, na które patrzy złym okiem, umie wzbudzić wrogość powściągliwie i dobitnie. A więc: do grupy niemieckich geologów zwiedzających kamieniołomy, do Woźnickiego, wiejskiego sprytiarza i wagabundy, który w obozie doncsi na kolegę, do inżyniera Sawy, który czyni „jeden krok zbyteczny w wychodzeniu naprzeciw Niemcom". Postaci te nie budzą w nas ani śmiechu, ani odrazy, ani — co może dla artysty pewnej skali najtrudniejsze — współczucia. Jest to znowu sprawa umiaru i powagi.

Opowiadania Filipowicza prowadzone są konsekwentnie. Przy powtórnej lekturze zdradzają jeszcze wyraźniej klasę budowy. Każdy opis, każda refleksja, wiąże się tu organicznie ze sprawą, o którą autorowi chodzi. Filipowiczowi tylko z rzadka zdarza się zamarudzić nad jakimś momentem (na przykład na początku „Domu nad rzeką", równie w „Zwycięstwie"), ale wtedy raczej sprawia wrażenie, że ostatecznie się nie zdecydował powiedzieć, o co mu szło, niż że się zagadał. Najpełniej harmonijne wydają mi się: cytowany już „Galicyn", „Dom", „Ballada". Za najmniej stanowcze uważam: „Kłamstwo", „Zwycięstwo". Natomiast „Krajobraz, który przeżył śmierć" rozpada się wyraźnie na dwa skrzydła. Związane węzłem małżeńskim osoby (których wstrząsające dzieje nowela opowiada), a nie żadnym spojeniem istotniejszym. Niemniej, pomimo że chwieje się w budowie, jest to i piękny i typowy dla Filipowicza utwór. Zamyka go milczenie. W miejscu, gdzie czas na refleksję ogólną, na uwagę moralną, socjologiczną, polityczną, Filipowicz odrzuca pióro. Jest przekonany o wydźwięku tego opowiadania, tak jak i innych. I słusznie. Poza tym sądzę, że do jego natury pisarskiej — pisarza, nie prokuratora, nie sędziego, raczej świadka oskarżenia — najlepiej pasuje: odpowiedzieć swoje i usunąć się.

W nowelach Filipowicza natrafiam na mnóstwo stron pięknie udramatyzowanych. Z wielu zwrócę uwagę na scenę niemego pościgu w „Balladzie", scenę ze skradzioną kromką chleba w „Chlebie oddanym", końcowy ustęp „Drogi powrotnej" i może najbliższy mi z całej książki fragment śmierci kochanka Katarzyny. Elementy, z których są zbudowane — ludzie, żywioły, przedmioty, tło — działają nie tylko przez swoje zharmonizowanie i skupienie, ale ponadto przez jakąś tęczę, która w takich obrazach unosi się nad samymi zdarzeniami. Tęczę, która nadaje im samoistną trwałość i zapowiada po Filipowiczu więcej, niż na razie znajdujemy w jego pierwszej książce.

Pióro Filipowiczowi nie pisze samo. Styl jego jest wyrazem jego woli, jego uwagi i jego ambicji, pchającej go do ścisłości. Nie jest natomiast przejawem jego uzdolnień do płynności. Opowiadania Filipowicza pociągają swoją treścią, powagą, skrupulatnością i pięknem; nie czytają się jednak same. Chwilami wymagają, żeby się do nich przyłożyć, ale wypłacają się za to. Dają czytelnikowi satysfakcję artystyczną, którą śmiało może zapisać na koncie swoich zysków.

Tadeusz Breza

*) **Kornel Filipowicz.** Krajobraz niewzruszony. Opowiadania. (Kraków), „Czytelnik", 1947; str. 212.

Stare i nowe bajki

1. *Oryginalną baśń ludową* przynoszą dwa zbiorki: „Baśnie z całego świata" w układzie Wandy Markowskiej i Anny Milskiej (Książka, 1946) oraz „Baśnie kaszubskie" opracowane przez Zuzannę Rabską („Nauka", Bydgoszcz, 1946, wyd. czwarte). Autorki pierwszego zbiorku ogłosiły już przed rokiem wybór baśni („Baśnie i legendy", Książka), w którym dały przegląd motywów baśniowych, ograniczając ich dobór z punktu widzenia tematyki społecznej: starały się unikać pozycji szczególnie „anarchicznych" w sensie fantastyki i wysunąć na plan pierwszy opowieści, oparte na zdrowym chłopskim rozsądku. Natomiast w zbiorze wydanym obecnie dominuje żywioł cudowności i nieprawdopodobieństwa, wyjąwszy może afrykańskie baśnie o zwierzętach. Cudowne metamorfozy, powrót zmarłych do życia, obrusy-samokarmy, rózgi samochłostki, poszukiwanie kwiatu paproci w tajemniczym lesie, mocarze, dokonywający wszystkich niemożliwych do spełnienia czynów, złote monety, sypiące się hojnie do rąk ludzi o poczciwych sercach — oto szczególnie uprzewilejowane tematy. Motyw głupiego poczciwca, który bez trudu wymienia na pieniądze wrodzoną dobroć, powtarza się w tych baśniach może zbyt często, tak że niekiedy dochodzi niemal do apoteozy głupoty: np. „Kto wiedzieć może, jakie zarządzenie Boże? Czasem rozumu władza być szczęśliwym zawadza, czasem zaś głupstwo istne bywa dobre, korzystne, zwłaszcza, kiedy cnotliwe" (A. J. Gliński). Niezbyt szczęśliwy jest także wybór baśni kroackiej „Kłamiesz", w której królewna słucha cierpliwie najoardziej nieprawdopodobnych bredni, lecz unosi się szlachetnym oburzeniem na niegodne posądzenie, że jej ojciec był pastuchem. Ta dowcipna pointa, zawierająca nauczkę, jak trafić w piętę achillesową wysoko urodzonych, może być źle zrozumiana. W baśniach obcych ludów uderza oryginalność pomysłów i egzotyka, np. w baśni mikronezyjskiej, w której Ejawanoko wspina się po drzewie do nieba i zostaje małżonką księżyca, lub w baśni staroindyjskiej o bohaterskim Wirawarze. Pożyteczny cel, jaki przyświecał autorkom przy sporządzaniu obu dopełniających się antologii, to zaznajomienie młodego czytelnika z pierwotnymi tworami kultury różnych ludów i wykazanie, że mimo odrębności narodowych istnieje między nimi głęboka wspólnota. Oba zbiory są cenną pomocą dla wychowawcy i chętnie będą czytane przez starsze dzieci.

„Baśnie kaszubskie" Zuzanny Rabskiej nie były nigdy tak popularne jak „Tajemnica Łazienek", a jednak przetrwały próbę czasu i dzisiaj przypomniano sobie o nich. Opowieści zawarte w tym skromnie wydanym zbiorku mają charakter regionalny, co sprzyja ich czytelności wśród starszych dzieci, gdyż zaspokajają one ich pasję poznawczą. Nawet gdy będą uważały, że „bajki" są dla nich zbyt dziecinne, chętnie dowiedzą się, dlaczego flądra ma krzywy pyszczek i dlaczego w herbie miasta Pucka znajduje się lew obok łososia. „Baśnie kaszubskie" są dzisiaj szczególnie aktualne nie tylko dlatego, że tematyka ich dotyczy Wybrzeża, lecz dlatego także, że krzewią szlachetny patriotyzm oparty nie na idei nienawiści i zemsty, lecz na umiłowaniu ziemi ojczystej. Baśnie te cechuje — należy to podkreślić jako stronę ujemną — nadmiar poetyckiej egzaltacji i wybujały mistycyzm religijny, wsparty rekwizytami romantycznych upiorów i czarów. Jest to dziedzictwo atmosfery młodopolszczyzny. Oba wymienione zbiory baśni przeczytają z pożytkiem jedynie dzieci starsze, którym można już wytłumaczyć istotę baśni i jej rolę w kulturze każdego narodu.

2. *Bajka dydaktyczna.* Nakładem „Księgarni Polskiej" w Łodzi ukazało się „100 najpiękniejszych bajek" Lafontaine'a, w naśladownictwach i przekładach Krasickiego, Kniaźnina, Mickiewicza, Niemcewicza, Noskowskiego i Trembeckiego. Zbiór bajek opracował i opatrzył wstępem Kazimierz Paszkowski, który, jak pisze, „starał się uwzględnić przede wszystkim utwory najbardziej umoralniające, o dydaktycznej wartości, by w obecnych, powojennych czasach, gdy panuje taki powszechny głód dobrej, pouczającej książki dla młodzieży, każdy czytelnik, młody i stary, mógł odnaleźć w nich swoje i drugich przywary, słabostki, wady i cnoty". Książka wydana jest starannie, ze starymi drzeworytami, w wyborze nie brakuje najbardziej znanych i celnych bajek i może przynieść niewątpliwą korzyść nauczycielowi, który pragnie wszechstronnie zaznajomić uczniów z tym rodzajem literackim. Należy jednak zakwestionować wydanie tego zbiorku jako lektury umoralniającej dla młodzieży. Jest to tendencja, którą od dawna porzucili wychowawcy. Bajka jest rodzajem zwięzłym i trudnym i młody czytelnik może ją konsumować jedynie w małych dawkach, w żadnym więc wypadku zbiór stu bajek Lafontaine'a nie może być lekturą rozrywkową dla dzieci i młodzieży, nauczyciel zaś wybierze stąd także tylko celniejsze pozycje.

3. *Baśnie poetyckie*, w których znane motywy baśni fantastycznej ulegają przetworzeniu w wyobraźni artysty — to rodzaj twórczości, któremu autorzy powinni oddać najlepsze swe siły. Niewiele posiadamy takich baśni, o ileż bowiem łatwiej pisać tuzinkowe i błahe „bajeczki dla dzieci" o stereotypowej treści i formie, niż tak odkrywczą w kompilacji znanych motywów baśń jak „Porwanie w Tiutiurlistanie". Żukrowski i Świrszczyńska — to dwa nowe nazwiska w tym dziale literatury, gdyż reszta to albo wznowienia, albo nowe utwory autorów znanych sprzed wojny: Januszewskiej, Krzemienieckiej, Korczakowskiej. Pierwsza z autorek szczególnie upodobała sobie staroświeckie, pełne subtelnego wdzięku tematy; w zbiorku „O drewnianym chłopcu" daje kilka poetyckich opowieści: o wiejskiej Psocie, która błotem opryskała wystrojoną staroścankę, o szewcach, którzy poparzyli się grochem i o hrabinie, która jechała żółtą kariolką, uległa czarowi łąki i rozpalonego przez pastuszków ogniska, a potem pragnęłaby już tylko „jeść kartofle prosto z miski, spać w stogach pachnących, wstawać rano, zwozić siano, pracować na łące". Wszystko to jest nieco literackie, jakieś księżycowe i nierealne, choć mowa tu o Wiśle i o Krakowie; może niektóre z baśni, zwłaszcza tytułowa, będą dla dzieci mniej dostępne niż inne, dawniejsze tej samej autorki — a jednak wysoka klasa artyzmu wynagradza tę zbyt wielką finezję — jest to typ utworów, który dziecko winno sobie systematycznie przyswajać aż do zupełnego zrozumienia.

Dawny styl Januszewskiej przejęła i szczęśliwie zindywidualizowała Anna Świrszczyńska w baśni „O cudnej starościance i sarneczce z lasu" (Wyd. Awir, 1947) podobnie jak stało się to kiedyś w historii „O szewcu warszawskim". Odwieczny motyw trzech konkurentów i pięknej dziewczyny został tutaj z wdziękiem odświeżony: serce starościanki zdobywa ubogi sokolniczek, który przynosi jej w darze piękną sarenkę, a bogaci i zarozumiali adoratorzy odchodzą jak niepyszni. Całość opracowana z poetyckim wdziękiem, zręcznym wierszem, któremu niezrozumiałe wyrazy jak jurysta, oracje, sepecik (dzieci bardzo to lubią, jeśli chwytają sens całości) dodają staroświeckiego smaczku, ilustrowana zgrabnie przez Uniechowskiego.

Lucyna Krzemieniecka w swej nowej książce „O młynarzu Sylwestrze" (Wyd. „Książka") daje dzieciom to, czego im najwięcej potrzeba — wesołe, żywe opowieści fantastyczne, pisane wierszem przeplatanym prozą. Tematyka oparta na życiu dzieci wiejskich, w każdym zdaniu coś się dzieje, każde spostrzeżenie będzie dla małego czytelnika atrakcyjne. Autorka umiała wytworzyć sobie swój własny styl pisania dla dzieci i umie utrzymać się na poziomie, nie wpadając w manierę.

„Jędrusiowe bajki" Korczakowskiej należy zaliczyć do szczęśliwych wznowień. Tematyka i ujęcie przypomina „W Wojtusiowej izbie" Porazińskiej, są to jednak dłuższe opowieści, jak gdyby dziecinne gawędy, atmosfera jest tutaj pogodna i ciepła. Nowa „powieść dla dzieci" tej samej autorki pt. „Kraina wszelkich możliwości" (S. A. Krzyżanowski, Kraków, 1946) łączy moment fantastyczny z realistycznym. Fantastyka występuje w postaci majaczeń chorego chłopca. Autorka opracowała nie nowy motyw cudownej krainy, w której wszystko wolno, w sposób interesujący. Choć tendencja dydaktyczna występuje na plan pierwszy, i postawa autorki jest nieco konwencjonalnie „szlachetna", w książeczce tej rozbraja naturalne i swobodne potraktowanie życia chłopców.

4. *Inne bajki.* Te inne bajki nie powstały z wysokich zamierzeń artystycznych. Są to przede wszystkim tanie, broszurowe wydania, niekiedy z marnymi ilustracjami. Dobre autorki wydają nieraz w ten sposób rzeczy słabsze; do nich należą dwie książeczki Zarembiny. „Jak bałwanek do morza wędrował" — książeczka obrazkowa ilustrowana aż przez dwie autorki (może dlatego tak słabo), rozlatująca się i wydana nie wiadomo dlaczego — jednostronnie, to znaczy, że zużyto na nią najniepotrzebniej podwójną ilość papieru. Mimo iż treść jest zabawna, całość wywiera złe wrażenie. Druga z nich „Jak Październik budził serca w ludziach" nieco lepsza w treści, jest także lepiej ilustrowana (M. Mackiewiczówna). Księgarnia Zdzisława Gustowskiego wydała po raz drugi bajki Wujka Czesia pt. „Ślicznotka i zaczarowany niedźwiedź". Bajki te są poczciwe w intencji, w treści niejednolite, a w formie naiwne: wiele z nich nazwać by można raczej przypowieściami, inne — to bajki dydaktyczne lub baśnie fantastyczne, prymitywnie ujęte. Język niestety nie zawsze poprawny („wydał wszystkie dwadzieścia złotych"). Niewielkiej wartości są także bajki Janiny Lipskiej, wydane w serii „Był raz..." (L. J. Jaroszewski, Kraków): „Drużyna słonia Dobronia". Są tam przeważnie opowieści o zwierzętach, ujęte w sposób tradycyjny, nieraz zbyt czułostkowy. W tej samej serii Witold Zechenter wydał „Bajki o matce". Cykl ten został opracowany z zamiarem dostarczenia materiału na święto matki. Inicjatywa pożyteczna i istotnie niektóre z zawartych tu bajek są godne poznania, jednak dobór ich jest zupełnie nieodpowiedni dla dzieci. Jedne są zbyt sentymentalne, inne zbyt tragiczne, jeszcze inne trącą melodramatem. Zwłaszcza bajka oparta na francuskiej piosence ludowej pt. „Serce", w której syn zabija matkę, by piękna czarodziejka mogła odprawić taniec z jej sercem, jest wprost niesmaczny, a zakończenie, które wykazuje miłość matki do syna mimo jego straszliwego okrucieństwa — jeszcze pogarsza sprawę. Ta bajka dowodzi, jak niewłaściwą rzeczą jest podawać w literaturze dla dzieci motyw ludowy w stanie surowym. W dwóch bajkach Izy Ostrowskiej pt. „O wiaterku Wicherku" i „Jak to dzieci pani Skały pożytecznie pracowały" — szwankuje rym, rytm, jest to typowa łatwizna ubrana w szatę baśni fantastycznej. Na tle tych wszystkich wydawnictw należy wyróżnić cykl książeczek, które są tanie, a jednak opracowane z troską, by dać niezamożnemu dziecku rzecz wartościową. Jest to cykl bajek o Krakowie w opracowaniu Świrszczyńskiej (Wydawnictwo M. Kota, Kraków). Wierszyki bezpretensjonalne, nawiązujące w sposób wdzięczny do rymu i melodii piosenek. Ilustracje St. Raczyńskiego są zbyt kolorowe, lecz pełne życia i rozmachu; najlepsze są w książeczce o królewnie Wandzie, gdzie również tekst jest najciekawszy. Duże stronice, na których rysunki i tekst tak rozplanowano, że jest na nich dużo światła i powietrza, sprawiają miłe i estetyczne wrażenie, zwłaszcza te, na których królewna Wanda co dzień myje bramę i czesze włoski wiejskim dzieciom. Wdzięczny motyw i nowy, choć wpleciony na starej osnowie. Okazuje się, że nawet w tak bezpretensjonalnej książeczce, stanowiącej przeróbkę a nie utwór oryginalny, można uniknąć konwencjonalizmu. Należy przyklasnąć inicjatywie wydawania książeczek obrazkowych tego typu, gdyż one właśnie rozchodzą się najszerzej. Książka może być tania — pisze Z. Dembińska w 38 nr. „Odrodzenia", a zwycięstwo będzie dopiero wtedy zupełne, gdy będzie to dobra książka. Droga książka dla dziecka jest bardzo często zła, lecz dotychczasowe tanie wydawnictwa były przeważnie synonimem jeszcze większej treściowej i estetycznej tandety. Takie książeczki, jak powyższe, są pierwszym krokiem ku dobremu.

Krystyna Kuliczkowska

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

HISTORIA

Odbudowa państwa polskiego w latach 1944 — 1946. Najważniejsze dokumenty i informacje zestawili **Wł. Kurkiewicz, W. Olszewski, A. Tatomir.** Zeszyt I. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. VIII i 303 i 1 nl.

Tomasz Nocznicki. Moje wspomnienia z ubiegłego życia. Warszawa, Stronnictwo Ludowe, 1947; str. 47 i 1 nl.

J. Stalin. Zagadnienia leninizmu. Łódź, „Książka", 1947; str. 564 i 1 knl. (portret). Ogólnopolska Liga do Walki z Rasizmem. **Tadeusz Zadrecki.** Legenda krwi. Analiza krytyczno - historyczna tzw. „Mordu rytualnego". Warszawa, „Wiedza", 1947; str. 44 i 8 nl.

LITERATURA

Eduard Bass. Klub jedenastu. Tłumaczenia dokonał **Zdzisław Hierowski.** Katowice, Awir, 1947; str. 138.

Leon Bogusz. W barwach zwycięstwa. Poezje. b. m. w., 1947; str. 23 i 1 nl.

Jan Drda. Miasteczko na dłoni. Powieść. Z czeskiego przełożył **Zdzisław Hierowski.** Katowice, Awir, 1947; str. 287 i 1 nl.

Weselina Genowska. Szklane mury. Powieść. Katowice, Awir, 1947; str. 255 i 1 nl.

Zygmunt Hofmokl - Ostrowski. Szkice biograficzne. Żarty. Kraków, 1948; str. 56.

A. Gorywoda. Pod górą św. Anny. Opowiadania śląskie. Katowice, M. Kowalski, 1947; str. 80.

Józef Hen. Kijów, Taszkent, Berlin. Dzieje włóczęgi. Katowice. „Literatura Polska", 1947; str. 312.

Koppel Holzman. Ziemia bez Boga. Tom I i II. Wrocław, „Wiedza", 1947; tom I, str. 348 i 4 nl., tom II, str. 309 i 3 nl.

Juliusz Kaden - Bandrowski. W cieniu zapomnianej olszyny. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1947: str. 237 i 3 nl.

W. Somerset Maugham. Uliczka we Florencji. Powieść. Tłumaczył **Stanisław Bauman.** Katowice, Awir, 1947: str. 253 i 3 nl.

Władysław Orkan. Komornicy. Powieść. Wydanie szóste. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1947; str. 160.

Leon Sobociński. Na gruzach Smętka. Z 36 ilustracjami. Warszawa, B. Kądziel, 1947; str. 247 i 1 n

NAUKA O LITERATURZE

Juliusz Kleiner. Zarys dziejów literatury polskiej. Tom pierwszy. Od początków piśmiennictwa do powstania listopadowego. Z 36 ilustracjami i 5 tabelami. Wydanie nowe przerobione. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1947; str. 336.

Antoni i Mikołaj Mazanowscy. Obraz literatury polskiej. Tom I i II. Okresem lat 1918 — 1947 uzupełnił Stefan Papée. Kraków, „Przełom", 1947. str. 889 i 1 nl.

Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Rok XXXIX. 1946. Warszawa, 1947; str. 4 nl. i 144

Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Sprawozdanie z posiedzeń wydziału I językoznawstwa i historii literatury. Zeszyt I i II. Warszawa, 1947; str. 97 i 3 nl.

OŚWIATA, WYCHOWANIE

Biblioteka Nauczyciela - Demokraty. Nr 4. **Eustachy Kuroczko.** O postawę społeczną nauczyciela. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 47 i 1 nl.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Biblioteka Fizyczno - Astronomiczna. **Czesław Białobrzeski.** Czym jest materia? Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 39 i 1 nl. — 50 zł.

H. Krzemieniewska. Śluzowce. Klucz do oznaczania najpospolitszych rodzajów i opisy niektórych ich gatunków. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 31 i 1 nl. — 50 zł.

Wacław Sierpiński. Wstęp do teorii mnogości i topologii. Wydanie II uzupełnione. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 136. — 125 zł.

Janina Szaferowa. Poznaj 100 roślin. Klucz do oznaczania 100 gatunków roślin kwiatowych dzikich i hodowanych. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947: str. 66 i 2 nl. — 90 zł.

Biblioteka Fizyczno - Astronomiczna. **Bolesława Twarowska.** Promienie kosmiczne. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 77 i 3 nl. — 95 zł

Kartki z dziennika lektury

Pierwszy tom pism Andrzeja Struga

„Wiedza" przystąpiła do wydania zbiorowych pism Andrzeja Struga. Na razie ukazał się tom pierwszy, przynoszący „Ludzi podziemnych" *). Tej inicjatywie należy się najżywsze uznanie zarówno za wybór autora, który był jedną z najpiękniejszych postaci naszej literatury międzywojennej, jak i za ambicję udostępnienia czytelnikom nie wyboru, lecz wszystkich jego dzieł. W ostatnich czasach niejednokrotnie i z różnych stron podkreślano naglącą konieczność zerwania z przypadkowością, która towarzyszyła i niestety nadal towarzyszy wznawianiom utworów wybitnych pisarzy. Chaos w tej dziedzinie budzi wiele gorzkich refleksji, wszelką bowiem istotnie celową akcję upowszechnienia kultury stawia pod znakiem zapytania. Przecież nawet Orzeszkową, Prusa i Żeromskiego otrzymujemy w małych dawkach, oszczędnie dozowanych przez różne wydawnictwa. Doniosłość akcji wydawniczej, która by swój plan oparła na wydaniach zbiorowych, ciągle należy do najbardziej palących spraw dnia i domaga się sensownej i szybkiej realizacji. Jeśli więc w tych okolicznościach uznano za właściwe przy wznawianiu dzieł Struga zrealizować zasadę jedynie słuszną, tym większa zasługa „Wiedzy". Przy okazji warto podkreślić, że obok gebethnerowskiej reedycji zbiorowych dzieł Orkana (ukazali się dotychczas „Komornicy" i „W Roztokach") zapoczątkowane przez „Wiedzę" pisma Struga są do tej pory jedynym w tym zakresie przedsięwzięciem.

„Ludzie podziemni", którzy właśnie się znaleźli na półkach księgarskich, ukazali się przed czterdziestu laty, w roku 1908. W życiu Struga data to bardzo ważna. Na wiosnę roku 1907, gdy w związku z ukończeniem wojny z Japonią wzmogły się na terenie Królestwa represje i ruch rewolucyjny począł słabnąć, Strug, który pod pseudonimem tow. Augusta pracował w Wydziale Wiejskim PPS, aresztowany został po raz drugi. Pierwsze aresztowanie jeszcze w roku 1895 skończyło się dla Struga trzyletnim zesłaniem do Archangielska. Teraz zesłania wprawdzie uniknął, musiał jednak opuścić granice carskiej Rosji. Wyjechawszy do Paryża, tam aż do wybuchu wojny poświęcił się ożywionej pracy literackiej, pisząc szereg utworów, które dzięki tematyce zjednały mu sławę pisarza rewolucji i piewcy ludzi ówczesnego podziemia. „Ludźmi podziemnymi" Strug debiutował. W roku następnym ukazały się dwa dalsze tomy opowiadań z tego samego cyklu: „Ze wspomnień starego sympatyka" i „W twardej służbie". Latom rewolucji poświęcone również zostały dwie powieści: „Dzieje jednego pocisku" (1910) oraz „Portret" (1913). Tylko w tomie opowiadań „Ojcowie nasi" (1911), nawiązującym do powstania styczniowego, sięgnął Strug w tym pierwszym okresie twórczości do tematyki innej.

Czytałem „Ludzi podziemnych" przed wielu laty: teraz sięgnąłem po ten tom z pewnym wahaniem i wątpliwościami niemałymi. Dla utworów tak ściśle i na gorąco, jak opowiadania Struga, związanych z pewnym okresem historycznym, czterdzieści lat jest ciężką próbą czasu. Co zostaje po latach: dokument tylko, czy ciągle jeszcze żywy i aktualny wyraz artystyczny? Z lektury dawniejszej pozostało mi mgliste wspomnienie dwóch zaledwie opowiadań. Jedno z nich, pamiętałem to dobrze, rozgrywało się w poczekalni dworcowej. Usiłujący zbiec za granicę rewolucjonista spostrzega nagle, że został rozpoznany przez szpiclów. Zorientował się jednak w niebezpiecznej sytuacji za późno, gdy już wszystkie wyjścia z dworca zostały obsadzone. Ucieczka jest niemożliwa. Zresztą ten od wielu lat zaszczuty człowiek nie pragnie jej. Czuje tylko śmiertelne znużenie i chce jednego: odpoczynku. Przestać działać, nie być zmuszonym do ciągłego ukrywania się. Więzienie — oto odpoczynek. Ale w momencie, gdy już jest gotów sam się oddać w ręce agentów, na peron wjeżdża pociąg. Poczekalnia zapełnia się podróżnymi. I w człowieku, w którym jeszcze przed sekundą było tylko śmiertelne zmęczenie, budzi się naraz wola walki. Korzystając z zamieszania w poczekalni, ucieka. To wszystko. Drugie opowiadanie pozostało mi w pamięci, jako bardzo w nastroju podobne do poprzedniego. Bohater jego, człowiek również przez policję śledzony i także u kresu sił, chcąc zmylić tropiących go agentów, błądzi w słotną jesienną noc po mrocznych i wyludnionych peryferiach Warszawy. Powiśle, Wola. Wreszcie o świcie, na wpół przytomny ze zmęczenia, dociera przypadkiem pod mury Pawiaka. I ogarnia go to samo pragnienie, co tamtego człowieka na stacji: odpocząć, nie decydować o sobie. I tak samo, jak tamten, przełamuje w ostatniej chwili słabość.

Oczywiście od tych dwu, słabo zresztą zapamiętanych opowiadań, zacząłem teraz lekturę „Ludzi podziemnych". Pierwsze z nich, ośmiostronicowe zaledwie, ma tytuł „Na stacji". Drugie, z całego tomu najdłuższe, nazywa się „Wigilie". Cóż to za doskonałe i przejmujące opowiadania! A jeszcze inne — „Z ręki przyjaciela", opisujące dramat prostego człowieka, gdy dowiaduje się, że prowokatorem jest towarzysz partyjny, któremu ten dawny łobuziak z Woli zawdzięcza całe swoje nowe, ideom rewolucji poświęcone życie. Albo „Ojciec i syn", w którym tak dramatycznie zarysowany został konflikt dwóch pokoleń, starych, walczących przed laty o niepodległość, i młodych, dążących do wolności poprzez walkę społeczną.

Na wiele osiągnięć Struga, które w swoim czasie były śmiałym poszukiwaniem nowych możliwości artystycznych, dzisiaj, po doświadczeniach powieściowej analizy psychologicznej, spojrzeć możemy z właściwego już dystansu. Ale siła „Ludzi podziemnych" leży nie tylko w ich znaczeniu historycznym, w tematyce rewolucyjnej i w odkrywczym podówczas spojrzeniu na przeżycia człowieka. Czytając „Ludzi podziemnych" nie trzeba się cofać o czterdzieści lat wstecz, aby w wydarzeniach tego okresu i w jego pozycjach literackich znaleźć dla tych opowiadań właściwe tło. Historyczne dekoracje, bez których jakże wiele wartościowych nawet książek traci swój sens i znaczenie, w tym wypadku nie są konieczne. Ludzie, wywołani przez Struga z mroków podziemia, dalecy są od koturnowego bohaterstwa. Strug nigdy ich nie pokazuje w akcji bojowej, w chwilach zwycięstw i tryumfów. Natomiast poprzez wszystkie opowiadania przewija się wspólny, wspomniany już motyw: człowiek u kresu sił, tropiony przez szpiclów i agentów, bezdomny i bez nazwiska, nędzny ludzki strzęp, samotnie przeżywający najcięższe chwile zwątpienia i słabości.

Nie wydaje się, aby tę stronę prawdy o konspiratorze i socjalistycznym działaczu, którą Strug wyniósł z doświadczeń rewolucji, tłumaczyć mógł bez reszty fakt historyczny: przegranie rewolucji. „Ludzie podziemni" nie są książką rozpaczy czy pesymizmu. Nie ma w niej zwątpienia w człowieka, nie ma również zwątpienia w zwycięstwo idei rewolucyjnej. Drogi w dziele sztuki, u których końca czuwają wiara i nadzieja, nie są ani tak proste, jak mniemają ludzie, żądający literatury „bohaterskiej" i „optymistycznej", ani tak złożone, jak sądzą ci, którzy wśród powikłań mrocznych ludzkich ścieżek znajdują ostateczny cel dla swoich poszukiwań. Dla pierwszych — Strug z „Ludzi podziemnych" okazałby się zapewne zbyt skomplikowany i ponury, dla drugich — zbyt prostacki. A w rzeczywistości Strug jest tylko prawdziwy, ponieważ osiąga swój cel człowieka idei, mówiąc o człowieku idei prawdę. Cierpką i bolesną. Lecz któż byłby tak łatwowierny, aby zechciał twierdzić, że mówienie prawdy jest proste i pogodne? To kłamstwo bywa proste i pogodne, lecz jakże szybko staje się nieczytelne!

Jerzy Andrzejewski

*) **Andrzej Strug.** Pisma. Tom pierwszy. Ludzie podziemni. Wstępem opatrzył **dr Paweł Gdula.** Warszawa, „Wiedza", 1947; str. XVIII i 214.

Szkoła krytyków

Nieco o Wyspiańskim

Wyspiański był zawsze wielkością trochę lokalną. Złożyło się na to wiele powodów. Nie tylko ten, że jego twórczość literacka tak ściśle w swoich tematach związana jest z Krakowem. Ze specjalnym Krakowem, tym, który w chwilach odświętnych mieszkańcy tego miasta jedynie dostrzegają: Wawel, Skałka, Wisła. Wyspiański bowiem w doborze miejsc uroczystych i godnych opiewania był tak wybredny, jak potrafią być jedynie rdzenni i rodowici krakowianie. Pomniejsze od Wawelu kościoły dostrzegał jedynie wówczas, kiedy uderzają z nich dzwony, by w „Akropolis" złożyć się w nastrojową muzykę wież. Jedynie teatr krakowski dostąpił w „Wyzwoleniu" zaszczytu wyższego od nagrobków położonych niżej od Wawelu i Skałki. Był więc wybredny jak krakowianie, kiedy innym grodom przeciwstawiają wartości swojego miasta, ale nie tylko dlatego pozostał wielkością trochę lokalną, poza rogatkami miasta niedostępną w smaku posiadanym w jego obrębie.

Za mało się zwraca uwagi na to, że jak na karierę wielkiego buntownika artystycznego, głosiciela nowych prawd narodowych i historiozoficznych, Wyspiański napotkał opory i przeszkody o wiele słabsze aniżeli nasi najwięksi pisarze. Kariera jego sławy jest tutaj szczególnie wymowna. Ten poeta w imaginacji burzący Wawel spotkał się z natychmiastowym uznaniem właśnie u wielbicieli dziejowego wzgórza, a po śmierci przyjęty został na Skałkę jako przybysz naturalny i oczekiwany. Widocznie to burzycielstwo było inne aniżeli np. rychłe i też imaginacyjne zamachy futurystów na zabytkowe świętości, bo po nich przecież nikt Marinettiego nie radził kłaść do etruskich sarkofagów. Widocznie to burzycielstwo było bardziej na niby i bardziej w zgodzie z tradycjami środowiska.

Wobec Wyspiańskiego były dąsy, były rodowe grymasy urażonego Tarnowskiego, ale jakże im daleko od niezrozumienia i oporów budzonych przez Słowackiego (Norwida lepiej nie wspominać!), a ze współczesnych Wyspiańskiemu przez Żeromskiego. Tarnowski zrzędził, ale w obrębie własnego stronnictwa posiadał frakcję przychylną Wyspiańskiemu. Tarnowski patronował miesięcznikowi stańczyków „Przegląd Polski", ale ten to właśnie „Przegląd Polski" drukował „Protesilasa i Laodamię", a w późniejszych latach fragmenty „Juliusza II". O roli zaś „Czasu" i słynnej recenzji Starzewskiego z „Wesela" wszyscy pamiętają. Dopiekli Wyspiańskiemu do żywego krakowscy architekci, z Tadeuszem Stryjeńskim na czele, psiocząc poeta na rodzinne miasto, a mimo to jego stosunek do Krakowa nie daje się rozwiązać w kategoriach konfliktu z małością współczesnych, a całkowitej zgody z wielkością czasów minionych. Nawet kiedy Wyspiański ze współczesnymi się spiera, ten spór mówi o ich utajonych tęsknotach. Jakich, o tym niżej.

Po śmierci Wyspiańskiego protest przeciwko jego wielkości był tylko jeden i nadszedł z Warszawy. Jego autorem był Józef Weyssenhoff, który ogłosił w „Tygodniku Ilustrowanym" cykl artykułów pt. „Laury Wyspiańskiego". W Krakowie natomiast zapanowała zgoda. Bo Kraków w swoim głębokim przekonaniu kreował nowego wieszcza. Kreował go według wzorów urobionych na postaciach trzech wieszczów i nie był skłonny za pierwszym atakiem ustępować ze zdobytej pozycji. Ta specyficznie polska kategoria wieszcza jest konieczna dla zrozumienia chwały Wyspiańskiego i wiele objawów popiera przypuszczenie, że pisząc o Wyspiańskim trzeba przede wszystkim spojrzeć na genezę tej kategorii i jej rolę we współczesnym mu pokoleniu. Bo tutaj się zawierają owe utajone tęsknoty, o których co dopiero pisaliśmy.

Oto Wyspiański najmniej oporów napotkał u tych, którzy z racji swojej funkcji naukowej powołani są, by ustalać szczeble wielkości i przyznawać rangi na tle poprzedników. Mianowicie u historyków literatury, komentatorów, filologów. Na łamy „Pamiętnika Literackiego" zawędrował natychmiast po śmierci i odtąd ich nie opuszcza, czy będzie to „Pamiętnik Literacki" właśnie, czy inny fachowy organ historyków literatury. Elitę polonistyczną wszystkich zaborów, jak Chmielowski, Chlebowski czy Gostomski, Wyspiański zdobył od razu.

Był wszakże teren, gdzie zdanie tej elity ważyło znacznie więcej, niż w innych zaborach. Ziemię obiecaną polonistów i filologów stanowiła Galicja sprzed pierwszej wojny światowej, a mózgiem tej ziemi był Kraków. Dla Lwowa pozostawił on reprezentację urzędowa, namiestnika i zaszczyty, dla siebie zachował rząd dusz. A ten rząd dusz, przemieniony na konkretne i społeczne instytucje, oznaczał przede wszystkim ustrój szkolnictwa galicyjskiego, zdeklarowaną przewagę nadający filologii w szerokim tego słowa znaczeniu. Inna to sprawa, że owoce kultu Wyspiańskiego ujawnią się znacznie później, dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy przekonanie o Wyspiańskim jako wieszczu stanie się własnością każdego przeciętnego polonisty w szkołach całej Rzeczypospolitej. Na razie o to nam chodzi, że nadających ton historyków literatury, filologów i komentatorów, Wyspiański zjednał bardzo szybko. Dzieła Tadeusza Sinki „Antyk Wyspiańskiego" Akademia Umiejętności nie wahała się nagrodzić w niewiele lat po śmierci poety.

Zjednanie dokonało się poprzez kategorię wieszcza, wypracowaną przez to pokolenie historyków literatury, do jakiego należeli Chmielowski i Tarnowski, a przez rówieśników Wyspiańskiego przyjętą jako najwyższa norma poety. Wyspiański, nawet spierając się, nawet walcząc z pojmowaniem poezji przez współczesnych, tę kategorię swojej twórczości uznał również i dlatego nawet jego burzycielstwo było w zgodzie z tradycjami środowiska, a Krakowa szczególnie. Wszak następnym pochowanym w tym mieście po Mickiewiczu wieszczem był Wyspiański, a później dopiero Słowacki.

Z wielu dowodów niech mi będzie wolno przypomnieć jeden, dosyć za to zabawny. Stanisław Tarnowski, jak wiadomo, przeciwko sławie Wyspiańskiego zareagował również jako satyryk, wydając bezimiennie „realistyczno-fantastyczny satyryczno-symboliczny, dźwiękowo-kolorystyczny, marmurowo-eteryczny, pastelowo-monumentalny, miniaturowo-kolosalny, humorystyczno-tragiczny, opisowo-dramatyczny, śliczny, poemat modernistyczny" (to jest autentyczny podtytuł!) — „Czyściec Słowackiego". Telefon do czyśćca, gdzie przebywają wieszczowie, tak dzwoni:

Z najwyższego polecenia
Autora Wyzwolenia
Mam zaszczyt złożyć oświadczenie
I uroczyste dać zapewnienie,
Że te małe niegrzeczności,
Które w swej nieomylności
Konrad mówi Geniuszowi,
Nic panu Mickiewiczowi
Nie uwłaczają,
Nie ubliżają:
Słuszne gromy Jowiszowe
Nie w jego mierzyły głowę.
Krasiński: Więc do kogo?
Telefon: Do posągu
Który po lat długim ciągu
Stanął na rynku w Krakowie
Mistrz owszem w życzliwym słowie
Mickiewiczowi przesłać się skłania
Wyraz swojego uznania.

Rymotwórcą Tarnowski był mizernym. W skrywane intencje trafiał niezgorzej, intencje nie tyle może samego Wyspiańskiego, ile środowiska.

Napisało się te uwagi, ponieważ 28 listopada minęło czterdzieści lat od śmierci Wyspiańskiego. Kraków o rocznicy pamiętał. Wznowiono „Klątwę" i „Warszawiankę", po latach pięćdziesięciu od prapremiery znów Starym Wiarusem jest Solski, odtworzono zniszczoną przez Niemców tablicę na domu przy placu Mariackim, gdzie poeta napisał „Wesele", w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych urządzono wystawę jego dorobku malarskiego, ukazało się w prasie miejscowej nieco artykułów, — Kraków jak mógł pamiętał. Reszta Polski prawie zupełnie zapomniała.

Czyżby Wyspiański po okresie ogólnopolskiej sławy miał znów pozostać poetą lokalnym, albo — co gorsze — poetą polonistycznego klanu? Wiele objawów w czterdzieści lat po jego śmierci wskazuje na podobne niebezpieczeństwa — ale o nich za tydzień, być może za dwa tygodnie również. Temat jest bardzo obszerny.

kjw

Notatnik muzyczny

Kwartet krakowski, Autori, Reissigova

Warto posłuchać muzyki kameralnej. Lecz — widocznie — niewielu jest takich, którzy są tego zdania.

Pieśń i wszelkiego rodzaju duety, wokalne czy instrumentalne, tria, kwartety i wszelkie małe zespoły, zalążki orkiestry, przeznaczone były swego czasu dla innego audytorium niż duża sala koncertowa, pełna ludzi, dla których koncert jest często synonimem jazdy w krainę sensacji, sportowego rekordu czy cyrkowego efektu.

„Koncert wielki", „koncert monstre" a — jeśli wirtuoz — to głos musi mieć „porywający", „oszałamiający", „uwodzący". Trochę jak w prasie: wielkie nagłówki, a pod spodem treść byle jaka.

Odeszliśmy od muzyki kameralnej, bo i gdzie ją grać? Przeznaczona była dla mieszkania. Dziś pojęcie mieszkania redukujemy do pokoju. Ludzie zbierają się w salach: fabrycznych, stołówkowych, biurowych, restauracyjnych, koncertowych czy teatralnych, ale już nie w lokalach, których istotą jest pojęcie tak zwanego domowego — mniej lub więcej — „zacisza".

Z muzyką kameralną dzieje się coś podobnego co z malarstwem sztalugowym. Gdzie wieszać obrazy? Prawdziwe obrazy? W muzeum — zapewne, ale trudno malować od razu, wprost do muzeum. W każdym razie, trudno od tego zaczynać.

Czy to ma znaczyć, że należy przekreślić sztalugowe malarstwo i skończyć z muzyką kameralną?

Niekiedy zdawać by się mogło, że w naszych czasach trzeba koniecznie podejmować bardzo szybko decyzje. Przyzwyczajamy się wyciągać wnioski, nie zostawiając marginesu na działanie czasu.

Zapominamy, że — zwłaszcza w sztuce — ale i nie tylko w sztuce — musimy mieć sporo czasu na to działanie... czasu! Sztuka jest jak Arab, który dywanika nie sprzeda bez długiego targu.

Tymczasem ofiarą tego pośpiechu, niecierpliwości, cechującej nasz wiek, pada muzyka kameralna. Są już nawet tacy, którzy z faktu, jej małej popularności, wyciągają wniosek, że jest to gatunek sztuki, hodowanej w zamkniętej próbówce, na sztucznej odżywce.

Powoli. Nie spieszmy się tak bardzo. Fala, która nas niesie, nie jest tak krótka, by skazywać pochopnie na zagładę to, co chwilowo wydaje się rezerwatem tak zwanych „smakoszów". Muzyka symfoniczna i opera przechodziły takie okresy niepopularności. Cierpliwe pielęgnowanie kwartetu czy innych takich zespołów jest w gruncie rzeczy pielęgnowaniem fundamentu sztuki

rys. M. Rudnicki
Franco Autori

muzycznej. Bez niego groziłby muzyce przerost efektownej formy kosztem tego, co jest najtrudniej wyrazić. Bo w muzyce kameralnej uczymy się mówić coś, co musi mieć treść muzyczną. Muzyka kameralna jest szkołą najgłębszych sekretów sztuki.

Kwartet krakowski (St. Tauros, Wł. Latała, T. Gonet i Z. Adamska) odegrał trzy dzieła: Mozarta, Bacewiczówny i Szostakowicza, wykazując duże zespołowe walory, godne wykonywanych kompozycyj. Bacewiczówna interesująco buduje i rozwija trzy części swego III Kwartetu, a Szostakowicz stapia w jedno swoją, z bardzo różnorodnych elementów złożoną, muzykę.

Wielki przyjaciel Polski, Franco Autori, przybył powtórnie ze Stanów Zjednoczonych, by objechać nasz kraj i dyrygować szeregiem koncertów we wszystkich miastach, które posiadają orkiestry symfoniczne. „Uderza mnie przede wszystkim wasza żywotność, stokroć większa niż w innych krajach europejskich, które po wojnie zwiedziłem" — mówi już czystą polszczyzną.

Brahms (Wariacje na temat Haydna), Mozart (Symfonia Haffnerowska) i Strawiński („Ognisty ptak") oraz, wykonane po raz pierwszy, cztery pieśni Maklakiewicza do tekstów czeskich L. Stechlika, wypełniły ten program, jeden z najpiękniejszych, jakie słyszeliśmy dotychczas w powojennej Filharmonii Warszawskiej.

Nieco impresjonistyczne w nastroju (zwłaszcza druga i czwarta) pieśni Maklakiewicza odśpiewała wyraźnie niedysponowana E. Reissigova. Pieśni te są pełne szczerego nastroju, żywsza jest trzecia, „Lniarska", w rytmie mazurowym i z kantyleną o wyraźnym, szlachetnym, z ludowo-kościelnych natchnień zaczerpniętym rysunku.

Cykl pieśni Viteslava Novaka „Dolina Nowego Królestwa" odśpiewała E. Reissigova z Z. Bytnarem przy fortepianie. Dziwi mnie popularność tego dzieła w Czechosłowacji — podobnie jak utworów Deliusa w Anglii. Za to „Ognisty ptak" Strawińskiego powiał szerokim muzycznym oddechem. Sala to odczuła natychmiast. Ten dawny utwór, przeinstrumentowany przez autora „Symfonii z Psalmów" w 1919 roku, to początek wielkiej drogi, którą Strawiński kroczy od 40 lat. Pomimo różnych jeszcze kolorów i melodyjnych zwrotów, przypominających choćby tylko Rimskiego-Korsakowa, jest to już „sama muzyka" a „Piekielny taniec króla Kościeja" jest jedną ze zwrotnych, decydujących kart w dziejach sztuki XX wieku.

Dobrze jest zaczynać od „Ognistego ptaka", by poznać Strawińskiego, lecz szkoda, że tak rzadko słyszymy jego dzieła.

Czy rzadko? Prawie nigdy!

Po koncercie dyrygowanym przez Autoriego myślałem raz jeszcze, że istnieje tylko jeden podział w muzyce: na dobrą i złą. Autori lubi, umie i chce wykonywać tylko dobrą. Już choćby tylko za tę jedną cnotę — warto go cenić.

Zygmunt Mycielski

Wśród wydawnictw

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Polski Śląsk. Seria II. 4. **Kazimierz Popiołek.** Zaborcze plany kapitalistów śląskich. Katowice — Wrocław, 1947; str. 140.

Praca dr. Popiołka opiera się na memoriałach Górnośląskiego Tow. Górniczo - Hutniczego z 1917 r., na memoriałach kilku izb, magistratu wrocławskiego i głównych działaczy śląskich z 1918 r. z okazji projektowanego wówczas utworzenia Królestwa Polskiego. Te dokumenty, przypadkowo odkryte, przytoczone w pracy **in extenso** i naświetlone dokładnie, wykazują, jak kapitał śląski obawiał się niezależności Polski i jak usilnie zabiegał o przyłączenie do niemieckiego Śląska przynajmniej Zagłębia Dąbrowskiego. Śląskie sfery gospodarcze domagały się jak najpełniejszego gospodarczego uzależnienia ziem polskich od Niemiec. Polska miała się stać kolonią, wydaną na łup bezwzględnej gospodarczej eksploatacji górnośląskiego przemysłu. Najważniejsze dla nas wnioski, wypływające z tych memoriałów, są te, że sami Niemcy już po pierwszej wojnie światowej stwierdzili, iż Górny Śląsk w obrębie państwa niemieckiego nie miał potrzebnych do rozwoju warunków a naturalne zaplecze i uzupełnienie dla Górnego Śląska stanowiły przede wszystkim sąsiednie ziemie polskie. Dziś te niemieckie argumenty biją w niemieckich rewizjonistów, którzy nie mogą się jeszcze pogodzić z powrotem Ziem Zachodnich do Polski.

Wrocławskie Wystawy Biblioteczne: I. Październik 1947. Literatura polska w autografach Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Katalog opracował **Tadeusz Mikulski.** Wrocław. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 1947; str. 60 i tablic 32.

Z bogatych zbiorów autografów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich wystawiono w gablotkach wystawowych 137 pozycyj. Opisał je starannie, ucząc patrzeć na ten ważny i ciekawy materiał naukowy, prof. Tadeusz Mikulski. Katalog poprzedził ładnym wstępem. Całość ujęto w 9 działów, od w. XVII po neoromantyzm, wyróżniając osobno Fredrę i jego 6 autografów. Najcenniejszym pokazem wystawy był tzw. „rękopis dzikowski" — „Pana Tadeusza". Uwagę zwracały również autografy Wacława Potockiego. Ignacego Krasickiego, Juliusza Słowackiego, Cypriana Norwida, Józefa Korzeniowskiego, J. Ign. Kraszewskiego, Kornela Ujejskiego, Henryka Sienkiewicza, Jana Kasprowicza, Stefana Żeromskiego, Wł. St. Reymonta i Leopolda Staffa. Dołączone do katalogu 32 tablice demonstrują autografy 17 pisarzy, ze szczególnym uprzywilejowaniem Fredry, Mickiewicza, Słowackiego i Ujejskiego, którym poświęcono największą ilość fotografii.

Stefan Papée

W poprzednim 49 (158) numerze „Odrodzenia" z dnia 7 grudnia 1947 r.: Andrzej Strug (9.XII. 1937 — 1947). — **Wacław Kubacki:** Współzawodnictwo sztuk. — **Mieczysław Jastrun:** Weimar anno 1829. — **Stanisław Jerzy Lec:** List do Stanisława Wygodzkiego. — **Andrzej Stawar:** Nowa monografia o Mickiewiczu. — **Bolesław Dudziński:** Na marginesie chybionego pomysłu. — **Kor. i Filipowicz:** Profile moich przyjaciół. Kali. — **Tadeusz Breza:** Marzenia nad Mussetem. — **Artur M. Swinarski:** Narodziny „Miniatur". — **Konstanty Puzyna:** Z teatrów Wybrzeża: „Balladyna" odkrywcy. — **Gabriel Karski:** Paul Eluard. — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury: Komentarz do „Słońca w herbie" Makuszyńskiego. — **kjw:** Szkoła krytyków: Wzdłuż dziejów. — **Zygmunt Mycielski:** Iwanow, Oborin, PWM, Lissa i Kisiel, budżet, mowa wrocławska. — Korespondencja **(Wacław Kalbarczyk, Jacek Mackiewicz, Bruno W. Korotyński).** — Klub Literacki „Odrodzenia". — Literat, jakim by go widzieć chciel... — Camera obscura. — 12 ilustracji. — 8 stron

KRONIKA TEATRALNA

Olsztyński Teatr im. Jaracza wystawił „Żołnierza i bohatera" Shawa, w reżyserii J. Strachockiego. Na zdjęciu: J. Strachocki, A. Ursyn-Szantyrówna i M. Szczęsna.

W Teatrze Rozmaitości w Warszawie grana jest obecnie sztuka Musseta „Nie igra się z miłością" (por. „Odrodzenie", nr 148).

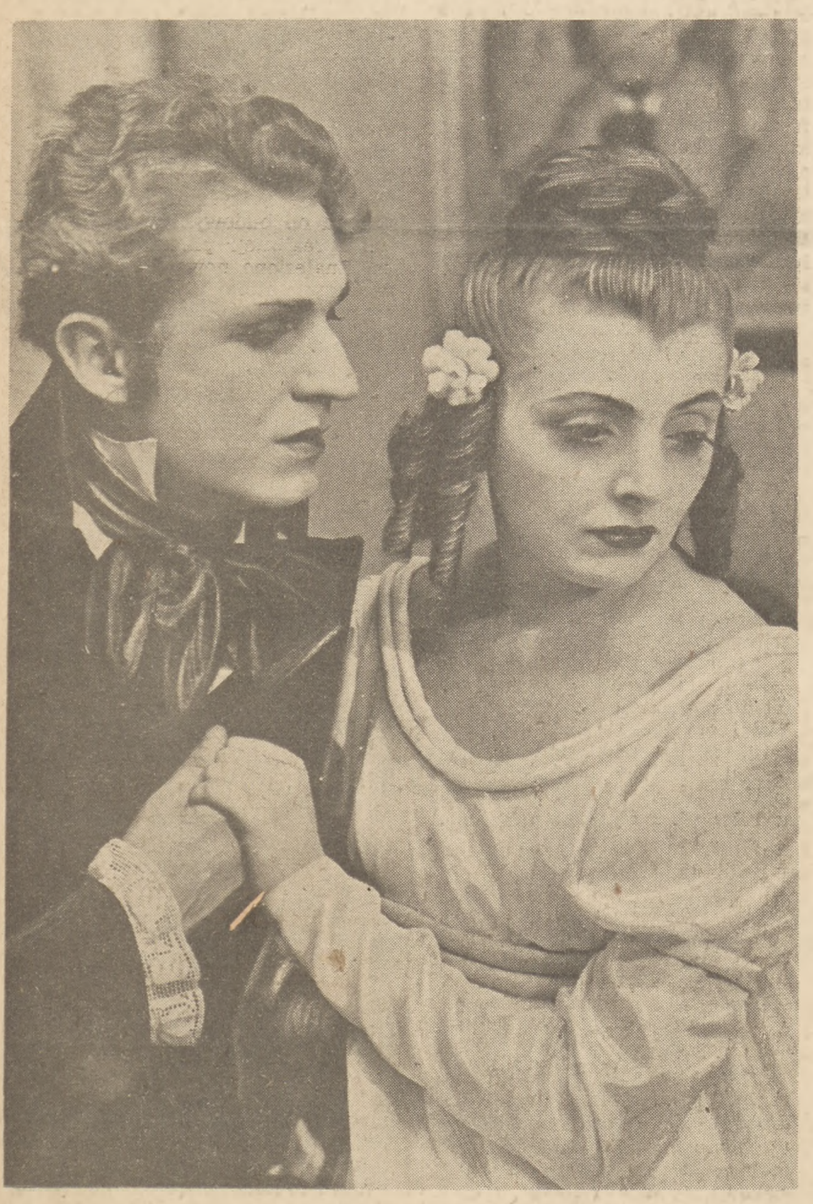

fot. R. Burzyński

W Teatrze Miejskim w Częstochowie odbyła się prapremiera sztuki J. T. Dybowskiego „I ty poznasz Marylę". Na zdjęciu: C. Łodzyński (Adam Mickiewicz) i Jadwiga Marso (Maryla).

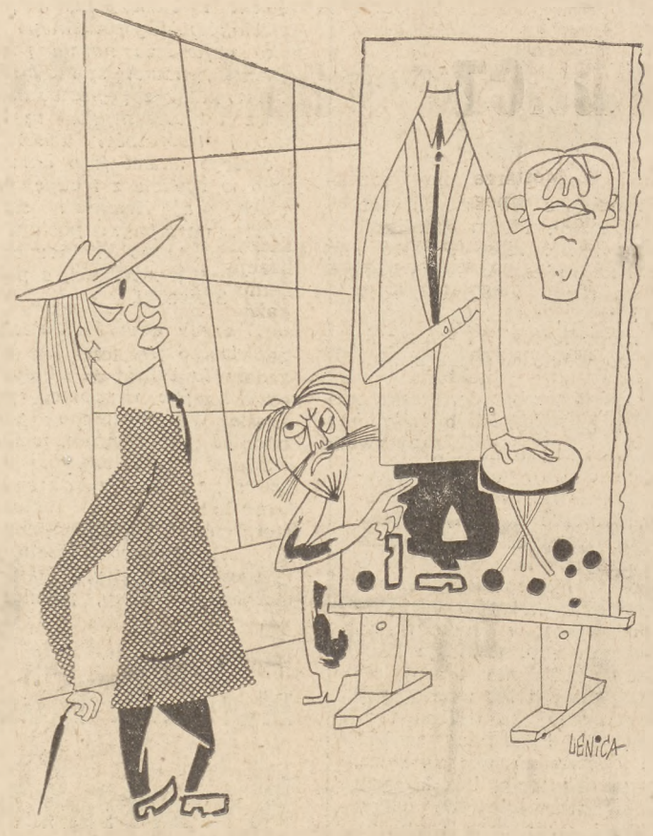

rys. Jan Lenica

Płótno było trochę za krótkie...

NOWA SERIA POCZTÓWEK

Znana artystka-graficzka Olga Siemaszkowa wykonała serię kolorowych pocztówek. Pięknie wydane pocztówki ukazały się nakładem „Czytelnika".

PRAWA I OBOWIĄZKI
członków Klubu Literackiego „Odrodzenia"

CZŁONEK K. L. „O" OTRZYMUJE:

1. Co drugi miesiąc powieść napisana przez wybitnego pisarza polskiego lub przełożoną spośród najlepszych dzieł literatury zagranicznej, starannie i estetycznie wydaną, zastrzeżona tylko dla członkow Klubu. Objętość książek może być różna, od 200 — 450 str., szata graficzna na dany rok jednolita.

2. co miesiąc informację o książkach klubowych, o rozwoju Klubu i dodatkowych świadczeniach na rzecz członków w kąciku klubowym tygodnika „Odrodzenie" w pierwszym numerze każdego miesiąca;

3. prawo udziału we wszystkich imprezach kulturalnych (odczyty, wieczory dyskusyjne, koncerty, wystawy), organizowanych przez tygodnik „Odrodzenie" po cenach ulgowych, gdyby wejście było płatne.

4. w razie rozrostu Klubu i napływu dużej ilości członkow w końcu roku premię w postaci nadliczbowej książki.

5. 30% rabatu na wielotomowe powieści „Czytelnika", jak Dąbrowskiej „Noce i dnie", Szołochowa „Cichy Don" i inne — zamówione drogą korespondencyjną.

W zamian za to członek K.L. „O" uiszcza abonament miesięczny w wysokości zł 150 — lub co drugi miesiąc po zł 300 — lub też po zł 900 — półrocznie.

Abonament jest płatny począwszy od grudnia bieżącego roku między 1 a 10 każdego miesiąca.

Wstąpienie do Klubu odbywa się przez podpisanie deklaracji członkowskiej. Wystąpić można wypowiadając swoją przynależność pisemnie na 3 miesiące przed końcem roku, tj. w miesiącu wrześniu.

Brak wypowiedzenia będzie traktowany jako uczestnictwo w Klubie na rok następny.

Wpłacać należy do PKO na konto Nr I-4745 lub przekazem pocztowym. Klub Literacki „Odrodzenia", Warszawa, Daszyńskiego 14.

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko .....

Adres .....

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia"

KOMUNIKAT

Polskie Towarzystwo Historyczne podaje do wiadomości ustanowienie przez Ministra Oświaty trzech nagród w wysokości zł. 250.000.—, 200.000.— i 150.000.—, za prace z zakresu historii Ziem Odzyskanych, t. zn. Śląska, Ziemi Lubuskiej i Wielkiego Pomorza. Nagrody zostaną przyznane przez jury powołane przez Zarząd Główny PTH za prace wydane drukiem w latach 1945 — 48 lub złożone w rękopisie na ręce Sekretarza Generalnego PTH. doc. dra Aleksandra Gieysztora. Warszawa. Uniwersytet, przed 1 lipca 1948 r. Nagrody mogą być podzielone. Przyznanie nagród nastąpi w czasie VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu we wrześniu 1948 r.

Najbliższy, świąteczny numer „Odrodzenia" — podwójnej objętości, 16 stron, cena egz. 40 zł.

Korespondencja

JESZCZE O PISARZACH EMIGRACYJNYCH

Do redaktora „Odrodzenia"

Z pewnym opóźnieniem wywołanym dłuższą nieobecnością w Londynie, w czasie której nie miałem sposobności czytywać „Odrodzenia" — przesyłam kilka słów wyjaśnienia w sprawie uchwały Związku Pisarzy Polskich w Londynie.

Na zebraniu, na którym zapadła wiadoma uchwała, głos przeciwny wyraził Stanisław Mackiewicz. Uważał on, że uchwała tej treści jest „samobójcza", założyłem również mój sprzeciw. Teza moja streszczała się w tym, że pisarze polscy powinni pisać dla czytelników w Polsce i utrzymywać za wszelką cenę łączność z krajem. Pozwoliłem sobie podkreślić fakt, że czytelnictwo na wychodźstwie katastrofalnie spadło, że lwia część Polaków wróciła albo wróci do Polski z rozmaitych terenów uchodźczych. Przy końcu zebrania londyńskiego, na którym byłem przedmiotem gwałtownych ataków z racji pojawiania się moich rzeczy w Polsce, a głównie z powodu mojego listu zamieszczonego swoiego czasu na łamach „Odrodzenia", wystąpiłem ze Związku Pisarzy Polskich w Londynie.

Niech mi wolno będzie dodać, że uchwała londyńska spotkała się z głosami krytycznymi w rozmaitych ośrodkach polskiej diaspory i że wiele osób na wychodźstwie wątpi w jej sens i celowość. Dowodem tego polemika, jaka wywiązała się na łamach pism takich, jak: „Kronika" (Niemcy), „Dziennik Polski" (Londyn) i „Orzeł Biały" (Bruksela). W „Dzienniku Polskim" (Londyn) Melchior Wańkowicz, zaznaczając, że nie jest członkiem Związku Pisarzy Polskich w Londynie, podkreślił, iż z uchwałą się nie solidaryzuje, albowiem uważa, że autorzy polscy winni drukować i ogłaszać swoje utwory w Polsce. Stwierdził on dalej, iż niektórzy z pisarzy, którzy opowiedzieli się pierwotnie za uchwałą, zwierzali mu się potem, iż zrobili to bez zastanowienia. Osobiście miałem do czynienia z jednym autorem, który podpisał uchwałę, a potem doszedł do wniosku, że nie jest ona celowa ani właściwa.

Należy dalej wyjaśnić, że Związek Pisarzy Polskich w Londynie skupia sporo autorów o mało znanych nazwiskach, albo nawet całkowicie nieznanych polskiemu piśmiennictwu; są tam dalej ludzie, którzy związani byli od lat z dziennikarstwem i publicystyką — jak chociażby sam prezes Związku Pisarzy Polskich w Londynie, prof. Stanisław Stroński — ale nie z literaturą. Obecność Ferdynanda Goetla którego działalność w Polsce oceniana jest — o ile wiem — negatywnie, nie przyczyniła się do uświetnienia zebrania nacechowanego histerią i wiecowym krzykactwem.

Zebranie to utwierdziło mnie jeszcze w opinii wyrażonej swojego czasu w liście do redakcji „Odrodzenia", który był tak ostro atakowany. Emigrantem jest człowiek, który świadomie opuszcza swój kraj doszedłszy do wniosku, że pracować w nim z tych czy innych względów nie może; polskie skupiska za granicą pochodzą z wychodźstwa wojennego, a prawdziwych emigrantów jest w tej diasporze bardzo niewielu. Dlatego użyłem wyrażenia tzw. emigracja zaznaczając tym samym, iż złudzeniem byłoby liczyć na jej rozum polityczny, na jej tzw. kontakty, możność penetracji opinii zagranicznej itd.

Uważam i uważałem, że pisarz polski powinien pisać dla swojego kraju jakkolwiek jestem jednym z tych autorów polskich, którzy mają możność pisania i ogłaszania w języku angielskim. Uważam iż każdy pisarz, podobnie jak każdy obywatel, ma prawo opuścić swój kraj i szukać otoczenia i warunków, które odpowiadają mu lepiej. Wówczas jednak pisarze tacy muszą stać na własnych nogach bez pomocy i subwencyj, muszą wejść w obce środowisko i pracować w języku danego kraju; muszą nade wszystko udowodnić sens i celowość swojego pobytu poza krajem rzetelną pracą twórczą dobrej jakości, pracą, która by została przyjęta i uznana w obcym środowisku.

Zbigniew Grabowski
(Londyn)

JESZCZE O CERVANTESIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 48 „Odrodzenia", w liście do redakcji Edwarda Martuszewskie, czytamy: „Bohaterem powieści Cervantesa jest don Quijote, którego nazwisko czyta się po polsku don Kichote, nigdy zaś don Kichot czy don Kiszot. Sprawa jest więc prosta: bohater powieści Cervantesa nazywa się Quijote".

Pogląd p. Martuszewskiego na tę sprawę, mimo pozornych filologicznych racji, nie jest słuszny, a zastosowanie hiszpańskiej pisowni imienia rycerza z Manczy byłoby tylko zupełnie niepotrzebną i nieuzasadnioną odmianą źle pojętego pietyzmu dla Cervantesa.

P. Martuszewski pisze dalej: „Niełatwą jest rzeczą przetłumaczyć tę powieść... Niestety, wszystkie dotychczasowe tłumaczenia „Don Quijote" na język polski są w mniejszym lub w większym stopniu sabotażem kulturalnym".

Szkoda, że autor listu nie wie o kongenialnym, współtwórczym przekładzie „Don Kichota" Edwarda Boyé. Adolf Nowaczyński zachwycał się tym tłumaczeniem i nazwał E. Boyé Boyem literatury hiszpańskiej i włoskiej (znakomity przekład „Dekamerona" Boccaccia).

Jego przekład „Don Kichota", nie tylko pełny i poprawny, ale wprost doskonały, ukazał się kilka lat przed minioną wojną nakładem J. Mortkowicza; można go śmiało postawić obok najlepszych tłumaczeń Boya-Żeleńskiego. Trudno przypuścić, aby udało się komukolwiek lepiej przełożyć „Don Kichota". Warto by jedynie, korzystając z 400 rocznicy urodzin Cervantesa, wydać wznowienie tego świetnego przekładu, o którym, rzecz dziwna, p. Martuszewski nic nie wie.

Znakomity romanista polski, prof. Wędkiewicz, opowiedział się za nazwą Don Kiszot, Zdzisław Milner, tłumacz „Nowel przykładnych" Cervantesa, także wolał Don Kiszota. Boyé natomiast uważał, że brzmienie to „jest symbolem nieznajomości arcydzieła Cervantesa" (mówiąc słowami p. Martuszewskiego) i zdecydował się na przyjęcie do naszego języka i literatury Don Kichota. W przedwojennej dyskusji, w której zabierało głos wielu specjalistów, nikt nie bronił pisowni „don Quijote".

Jerzy Ficowski (Warszawa)

BŁĘDY

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule „Leskow i Polska", zamieszczonym w 154 numerze „Odrodzenia", znalazło się kilka błędów drukarskich. I tak: zniekształcone zostały nazwiska **Gonczarowa i M. N. Katkowa.** Podtytuł książki Grossmana brzmi: **„Zizń — tworczestwo — poetika".** W trzecim przypisku (o Bennim) czytać należy: „Do **polskości** ten „obywatel świata nie poczuwał się", a w ostatnim zdaniu: „...literatury, która **w czasach** caratu stała się katedrą".

Henryk Markiewicz (Kraków)

AWIR

POLECAMY
NA GWIAZDKĘ

Wojciech Żukrowski
PIÓRKIEM FLAMINGA
z 60 ilustr. A. Uniechowskiego
Irena Krzywicka
TAJEMNA PRZEMOC
Janusz Meissner
PILOT GWIAŹDZISTEGO ZNAKU
N. Jemielianowa
CHIRURG
W. Somerset Maugham
OSTRZE BRZYTWY
A. J. Cronin
KLUCZE KRÓLESTWA
Sinclair Lewis
MAŁŻEŃSTWA
James Hilton
ZAGUBIONE DNI
A. J. Cronin
ZIELONE LATA
Rex Warner
LOTNISKO
Warwick Deeping
ZATRUTE STUDNIE
Jan Drda
MIASTECZKO NA DŁONI
Agatha Christie
PIĄTA KOLUMNA DZIAŁA

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

WYDAWNICTWO „AWIR" KATOWICE
ODDZIAŁ WARSZAWA, ul. KRUCZA 47-A

Redaktor: KAROL KURYLUK. Adres redakcji: Warszawa, Daszyńskiego 14 tel. 85833 — Redaktor przyjmuje od g. 13 do 14 — Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16, pokój nr 23, tel. 85 794 Konto w PKO nr 1.4739.
Drukarnia Nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł. B-42706 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".